

MISTRZOM I ŻAKOM POMYŚLNEGO STARTU

TYGODNIK
SPOŁECZNO-OŚWIATOWY

ROK LXVIII ● NR 39 ● 29 IX 1985 r.

CENA 10 ZŁ



GŁOS

NAUCZYCIELSKI

Ponadto w numerze:

- ALFRED MIODOWICZ
- ZDZIŚŁAWA GNOIŃSKA
kandydaci do Sejmu
- ILE MIEJSC DLA ZWIĄZKU
w Politechnice Poznańskiej
- NA PYTANIA CZYTELNIKÓW
odpowiada kierownictwo ZG ZNP
- PPS W LATACH 1939-45
w „Zeszytach Historycznych”



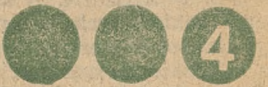
W JAKIM TONIE GAUDEAMUS?

WOJCIECH SIERAKOWSKI

Czym żyje dziś Politechnika Poznańska? Nie ulega kwestii, że boryka się z podobnymi trudnościami co wiele innych wyższych szkół technicznych. Można by je uszeregować tak: spadek zainteresowania studiami technicznymi, kłopoty z naborem kandydatów na następców obecnej kadry, niedostatki aparatury naukowo-badawczej, skromne możliwości rozwoju zaplecza badawczego.

Prof. dr hab. inż. Wiesław
Jankowiak

Fot. M. Suchecki



KORESPONDENCJA Z RFN (1)

MARIA RYBARCZYK

ROZMOWY O POLSCE

W lipcu grupa działaczy ZNP z różnych rejonów kraju gościła w Republice Federalnej Niemiec. Było to możliwe dzięki dwudziestoletniej już współpracy i wymianie grup nauczycielskich Zarządu Głównego ZNP z Instytutem Doskonalenia Nauczycieli w Hamburgu. Celem tej studyjnej wycieczki było zapoznanie się z systemem szkolnictwa tego kraju, wymiana doświadczeń i poglądów na wspólne wszystkim pedagogom problemy wychowania w duchu pokoju, tolerancji i przyjaźni między narodami. Trasa wycieczki wiodła z Hamburga przez Lubeke, Bremę, Bonn, Kolonię, Monachium i Norymbergę. Jednak większość czasu przeznaczono na pobyt w Hamburgu, interesujące spotkania i dyskusje w wielu instytucjach, nie tylko oświatowych. Polskiej delegacji przewodniczył prezes Zarządu Głównego ZNP — Kazimierz Piłat.

O czym rozmawiają Polacy, gdy przekroczą granicę swego kraju? Co jest tematem ciągłych dysput, sporów, a także dowcipów? Nie architektoniczne cuda starych budowli i nie urzekające widoki miast i wsi, nie obyczaje, liczne odmienności tubylców, także nie spotykane czasem nowości techniki. Zawsze i wszędzie stały temat rozmów to Polska. Mówi się o niej bez przerwy. Raz — porównując to i owo, co nie zawsze wypada korzystnie dla naszego kraju, zwłaszcza wówczas, gdy świat ogląda się i ocenia z imponujących różnorodnością ofert wystaw sklepowych. Dwa — za granicą mówi się o Polsce nie tylko często, ale jakoś cieplej, bo z oddalenia widzi się ją jakby wyraźniej, przejrzystej, w całości, bez dzielenia włosa na czworo.

Szczególnie mocne są te odczucia w trakcie pobytu w Republice Federalnej Niemiec. Obraz tego kraju, oglądanego oczami Polaka, różni się zapewne od wrażeń, które odbiera Amerykanin czy Japończyk. Każdy zwiedzany tu zabytek, o którym mówi się, że został zburzony w czasie wojny — Polakowi natychmiast przywodzi na myśl kikuty warszawskich kościołów czy gdańskiej Starówki.

Oto wzniesiony niedawno na małej leśnej polanie obelisk i budynek-muzeum pamięci ofiar hitlerowskich okrucieństw b. obozu koncentracyjnego w Neuengamme. Nieliczni tutaj turyści przychodzą i odchodzą, zwiedziwszy czyściutkie muzeum, gromadzące głównie zdjęcia, kopie tekstów oraz makietę obozu, dziś już zapomnianego nawet przez mieszkańców okolicznych wsi. Budynki i cały teren b. obozu są dziś zasiedlone, pięknie urządzone, niedostępne dla turystów, otaczający je las dyskretnie chroni przed oczami ciekawskich.

Składamy biało-czerwone goździki pod obeliskiem oraz na płycie z wrytymi literami „Polska”. Oglądamy ten pusty, ze starannie wystrzyżoną trawą plac — i stoimy w bezruchu, mając przed oczyma Brzezinkę, Oświęcim, Majdanek, a w uszach krzyk mordowanych tam ludzi. A co starsi wiekiem, opuszczając Neuengamme — nerwowo reagują na ostrzejszy dźwięk niemieckiej mowy.

Tak patrzymy na RFN Anno Domini 1985 oczami Polaków, którzy nie wyzbyli się pamięci tragicznych skutków minionej wojny.

Niemcy zresztą też. Mówią o tym często, zwłaszcza tu, w Hamburgu, w którym podkreślają, iż w tej wojnie szczególnie ucierpiała Polska — z winy Niemiec. Hamburgczycy — zarówno władze tego kraju, jak i mieszkańcy — granicę na Odrze i Nysie uważają za trwałą, twierdzą, iż nie ma i być nie może problemu granic.

Nie wszędzie na terenie RFN tak właśnie jest, chociaż — jak się okazuje, 70 proc. społeczeństwa RFN (to wyniki najnowszych badań) uważa, że dziś nie ma już problemu granic.

Ale o granicach jednak ciągle się tu mówi i pisze. I to w sposób, który może nas, Polaków, szczególnie niepokoić. Właśnie dlatego tak potrzebne są spotkania i rozmowy z Niemcami w RFN, o tym, co może i powinno nas łączyć. Bezpośrednie kontakty potrzebne są zwłaszcza nauczycielom, to ich chyba najbardziej jednoczy; wspólna myśl o przyszłości swego kraju, Europy i świata.

Ta myśl — o wychowaniu dla pokoju, współpracy między narodami, o przyjaźni



ALFRED MIODOWICZ KANDYDAT Z LISTY KRAJOWEJ

WGLAD W RZAD



Alfred Miodowicz (pierwszy od prawej): Ludzie chcą dobrze pracować, bo chcą dobrze żyć. Muszą jednak widzieć konkretne cele...
Fot. CAF

„Nie dam się urobić na urzędnicze kopyto, nie znoszę biurka” — mówi o sobie Alfred Miodowicz, rocznik 1929, pierwszy nagrzewnicowy w Hucie im. Lenina, przewodniczący OPZZ i przewodniczący Federacji Związku Zawodowego Hutników, kandydujący do Sejmu z listy krajowej. I jeszcze: „Nigdy nie stracę kontaktu z hutą, zawsze ze wszystkich stanowisk najwyższej będę sobie cenił pracę na wielkich piecach. A świadomość, że mam zawód, który kocham i do którego zawsze mogę wrócić, zapewnia mi cudowny komfort psychiczny. To daje luz, uwalnia od stresów, pomaga upierać się przy swoim, nawet w najtrudniejszych i najburzliwszych dyskusjach na najwyższych szczeblach”.

Do tych osobistych wątków nawiązuje jednak rzadko. O wiele chętniej mówi w wywiadach prasowych, w czasie spotkań przedwyborczych — a odbyło się ich sporo i to w różnych środowiskach — o programie OPZZ. Przedstawia, bez owijania w bawełnę, stanowisko ruchu zawodowego w podstawowych dla ludzi pracy kwestiach. Mówi barwnie, sugestywnie, bez uników, ale i bez demagogii.

PROGRAM MAMY SKROMNY

Zapytany na spotkaniu z młodzieżą o status OPZZ i pozycję organizacji związkowych w zakładach pracy, odpowiada zdecydowanie:

„Przekształcenie się w CRZZ nam nie grozi. OPZZ jest bowiem tylko ogólnopolską reprezentacją, a nie żadną władzą dla działających całkiem samodzielnie zakładowych organizacji związkowych. Ani OPZZ, ani federacje, ani poszczególne związki nie korzystają z dotacji, utrzymują się wyłącznie ze składek. W przypadku OPZZ plus jeszcze z odsetek od majątku poprzednich związków. Jeśli zaś chodzi o stosunki związków zawodowych — administracja zakładowa, to jestem zwolennikiem nie niszczenia, lecz twórczego konfliktu. Gdyż tylko taki stan pozwala osiągnąć poprawę sytuacji w zakładzie. A szansę na umocnienie zakładowych organizacji związkowych widzę w szerszym udziale młodzieży we władzach związkowych”.

O celach, jakie sobie dziś stawia ruch związkowy — mówi tak: „Mamy skromny w stosunku do potrzeb program, jeśli chodzi o żądania nowych nakładów i nowych świadczeń. Natomiast bardzo uważnie śledzimy proporcje podziału tego, co dzielić można”. Powściągliwa to ocena, jeśli zważyć, że w programie OPZZ mieszczą się — jakby nie było — ambitne plany rozwiązywania węzłowych, a jednocześnie tak nabrzmiałych problemów jak choćby budownictwo mieszkaniowe czy ochrona środowiska.

300 TYS. MIESZKAŃ TO MINIMUM

Jak Alfred Miodowicz, kandydat na posła z rekomendacji ruchu związkowego, widzi na przykład sprawy mieszkaniowej?

„Drażny problem z takim uporem, bo jest on bardzo nabojały i często sygnalizowany przez załogi zakładów pracy. Mamy też przekonanie, że z powodu małej elastyczności starych schematów marnują się jakieś szanse. Jeśli mamy spełniać jakąś rolę w systemie wczesnego ostrzegania, to sygnalizujemy, że brak mieszkań, a szczególnie brak perspektyw rozwiązania tego problemu, grozi poważnym konfliktem władzy z młodym pokoleniem”. „Nas — mówi — nie satysfakcjonuje 120 tys. mieszkań rocznie, bo minimum, to 300 tys., a potrzeby sięgają 400 tys. mieszkań w roku. Wywojowaliśmy tyle, że systemowym rozwiązaniem tego problemu zajmie się Krajowa Rada Budownictwa. OPZZ stoi na stanowisku, aby dwa lata wykorzystać na porządkowanie tych spraw, a następnie w trzecim roku pięciolecia ruszyć do przodu i oddawać obiekty szybko. Rezerwy są w nowych technologiach, w rozwoju zakładowego budownictwa mieszkaniowego, w remontach starych domów”.

I dzieli się refleksją: „Znam takich techników, którzy twierdzą, że mieszkańcy

nie musi być traktowane jako świadczenie socjalne, jeśli dopuści się większe zaangażowanie materialne samego zainteresowanego i zapewni mu kontrolę nad dysponowaniem wyłożonymi środkami. Jeśli wreszcie da mu się możliwość większego wpływu na cały proces budowy. Może wówczas pieniądze i materiały będą wykorzystywane oszczędnie”.

TU BĘDZIEMY BEZWZGLĘDNI

O ochronie środowiska, wypowiada się ze szczególnym zaangażowaniem: „Ostatnio przeszedłem całą drogę królewską w Górach Świętokrzyskich, nie spotykając ani jednej zdrowej jodły. Poprosiłem o materiały na temat skażenia tamtejszego środowiska i wspólnie z naszymi działaczami udało nam się spowodować wizję lokalną tych zatrutych terenów. Nie znam wyników ustaleń, ale wiem, że jeśli kieleckie „Nowiny” czyli zakłady cementowe, nadal będą tak straszliwie niszczyć wszystko dookoła, to je zamkniemy, podobnie jak zamknęliśmy koksownię w Zabrze. Powie ktoś: toż to dramat dla gospodarki narodowej, dramat dla ludzi pozbawionych nagle pracy, ale czy nie większym dramatem jest to, że w Polsce rodzą się dzieci z ołowicą, że warunki pracy na niektórych wydziałach Huty im. Lenina są sprzeczne z elementarnymi przepisami bhp, że tak rośnie liczba ludzi odchodzących na renty inwalidzkich?” I rzecz puentuje w stanowczym tonie: „W ochronie środowiska będziemy bezwzględni. Tu związki zawodowe i — mam nadzieję — przyszli nasi posłowie będą mieli jednoznaczne opinie”.

BEZ DYPLMACJI

Zapytany przez rozmówców o stosunki między związkami zawodowymi a władzą, Alfred Miodowicz tak ocenia sytuację:

„Myślę, że uczymy się nawzajem formułowania argumentów, słuchania tych, które partner przedstawia. Nie twierdzą, że wszystko przebiega bezkolizyjnie. Zdarzają się tacy rozmówcy, którzy od razu mówią, że się „nie da zrobić” lub odsyłają po decyzję „do góry”. Bywa też, że się obrażają, gdy występujemy z jakimś wnioskiem lub problemem traktując to jako atak pod ich adresem. Takie postawy zmuszają nas do postawienia sprawy, jak się to mówi, na ostrzu noża. Może więc nie jesteśmy przez wszystkich lubiani. Chociaż na ogół spotykamy się ze zrozumieniem naszych stanowisk”.

Przy innej okazji stwierdza: „Rząd dziś w wielu przypadkach przyznaje nam, związkowcom, rację. Tylko, że jeszcze niewiele z tego wynika. Krąży nawet po Warszawie taka anegdota: „Co to znaczy, że rząd negocjuje z OPZZ? To znaczy, że zgaźnia się na wszystko i... ma święty spokój”. A my chcemy zmusić resorty do działania, do uregulowania wielu zadawionych, niezałatwionych spraw. Chcemy mieć wgląd w rząd, w dokumenty o stanie naszej gospodarki”. I stwierdza jednoznacznie: „Nie będziemy bawić się w dyplomację w rozmowach z rządem, bo uważamy, że naszym obowiązkiem jest stawiać sprawy jasno i twardo, gdyż problemy dziś odkładane, jutro mogą stać się detonatorem”.

KARTA TO SUKCES

Jako przewodniczący OPZZ, Alfred Miodowicz w swych wystąpieniach podejmuje najczęściej problemy dotyczące całego ruchu zawodowego, wszystkich ludzi pracy, choć nie unika zajmowania stanowiska w kwestiach dotyczących poszczególnych branż. Uczestnicząc na przykład w czerwcu br. w Krajowej Konferencji Delegatów ZNP jednoznacznie wypowiedział się w zasadniczej dla naszego Związku kwestii, jaką jest Karta Nauczyciela: „Hutnicy mają swoją Kartę od lat. Podobnie nauczyciele. Zdobyć Kartę jest kwestią długotrwałych starań, ale przestrzeganie jej i zachowanie wszystkich zawartych w niej zapisów jest znacznie trudniejsze. Co chwila ktoś nam chce coś z Karty Hutnika urwać. Gratuluję ZNP, że zdobył Kartę. Jest to wielki sukces, ale z wielką pieczołowistością trzeba patrzeć, jak jest ona przestrzegana. Życzę Związkowi Nauczycielstwa Polskiego dobrej kondycji, by dobrze strzegł wywalczonych w Karcie zapisów”.

COŚ ZA COŚ

Nie tak dawno ruch związkowy wystąpił z inicjatywą zawarcia nowej umowy społecznej. Nawiązując do tych sugestii, przewodniczący OPZZ, ustosunkował się do porozumień sierpniowych.

„Uważam, że idee zawarte w umowach sierpniowych są dalej nośne społecznie, mimo upływu czasu. Myślę o idei demokratyzacji naszego życia publicznego, konieczności poszukiwania nowych form udziału w życiu jak największej liczby obywateli, o praktyce swobodnej wymiany opinii i poglądów oraz o zasadzie sprawiedliwości społecznej”. Przy innej okazji dodał, aby nie było żadnych niedomówień: „OPZZ nie pozwala i nie będzie pozwalało, aby jastrzębskie porozumienie odłożyło ad acta. Zjemy nim”.

A jeśli tak, to po co nowa umowa społeczna? „Chcemy — wyjaśnia przewodniczący OPZZ — żeby umowy były oparte na realiach planów gospodarczych, wieloletnich i rocznych. W ścisłej współpracy z samorządami organizacje związkowe przyczyniłyby się do lepszej realizacji tych planów, do ujawniania możliwości oszczędzania i poprawy wydajności. Jeżeli nasze starania wydałyby dobre owoce, spowodowałyby na przykład zwiększenie produkcji, poprawę jakości czy intensyfikację eksportu, to wygospodarowane większe środki — rząd skierowałby, na uzgodnione z nami cele społeczne. Czyli zasada: „coś za coś”.

Jeżeli zostanie wybrany posłem, to za najważniejszy, podstawowy cel postawił sobie — jak twierdzi — właśnie: „Umowę społeczną będącą współczesną, dostosowaną do obecnych warunków, wersją porozumień gdańskich, pozwalającą ludziom rzeczywiście aktywnie, z pełnym przekonaniem angażować się w budowę lepszego socjalistycznej Polski. Ludzie chcą dobrze pracować, bo chcą lepiej żyć. Muszą widzieć jednak konkretne cele, znać terminy realizacji poszczególnych ustaleń, móc rozliczać ludzi za to odpowiedzialnych. Tak właśnie widzę rolę związkowców w Sejmie”. I jeszcze: „Jako związkowiec — jeśli znajdziemy się w nowym Sejmie — dążyć będziemy, aby jedną z pierwszych była ustawa o ramowych układach zbiorowych. Staną się one bowiem konstytucją związków zawodowych, pozwalającą skutecznie działać w obronie interesów ludzi pracy”.

ZWIĄZKOWA GRUPA NACISKU

Posłowie-związkowcy. Jak sobie to wyobraża? „Teraz — powiada — będziemy mieli silną reprezentację w Sejmie. Liczymy w OPZZ, że przynajmniej 40—50 posłów będzie działaczami związkowymi, a najmniej 100 — posiadaczami legitymacji związkowej. To dużo, zwłaszcza w sytuacji, gdy działacze będą wspólnie. Nie przewidujemy utworzenia żadnej formalnej grupy, mówimy natomiast, coraz głośniejsze, o przyszłej grupie nacisku, o stworzeniu swojego lobby związkowego, prowadzącego, zgodnie ze swoimi uprawnieniami, działalność kontrolną oraz inicjatywno-legislacyjną. Jeżeli rząd, mimo naszych sugestii nie zgłosi projektu ustawy — choćby, a może przede wszystkim tej o układach zbiorowych — związkowcy na ławach poselskich zrobią to sami. Pod wnioskiem, pod inicjatywą opartą na rzetelnym rozeznaniu sytuacji, na opiniach wyborców — podpisze się każdy poseł. Związkowcy domagają się będą w Sejmie od resortów konsekwencji w działaniu, realizacji raz przyjętych ustaleń, szybszych decyzji na wszystkich szczeblach administracji. Reprezentacja związkowców w Sejmie nie da sobie przejść przez rozum, nie będzie się zadowalała okrągłą odpowiedzią na interpelację poselską i obietnicą, iż rząd rozważy możliwość. Naszym podstawowym celem jest troska o dobro człowieka pracy. To dobro można i trzeba pogodzić z interesami gospodarki. Tej umiejętności będziemy wymagać od wszystkich resortów”.

MUSI SIĘ UDAC

Śmiało, ambitne zamierzenia. Czy uda się je osiągnąć? Zapytany o to przez jednego z wyborców, Alfred Miodowicz odpowiedział krótko: „Musi się udać. Gdybym w to nie wierzył, zrezygnowałbym ze wszystkich funkcji i stanowisk i wrócił na swój wielki piec”.

KRONIKA

(od poniedziałku

do niedzieli)

POSIEDZENIE BIURA POLITYCZNEGO KC PZPR

17 września br. na posiedzeniu Biura Politycznego KC PZPR, omówiono m. in. stan przygotowań do plenum Komitetu Centralnego partii, które będzie poświęcone wężłowym problemom edukacji narodowej. Uznano za niezbędne podjęcie prac nad lepszym dostosowaniem systemu kształcenia młodzieży do współczesnych i perspektywicznych zadań gospodarki i kultury narodowej. Ewentualne zmiany w systemie edukacji mogłyby być wprowadzone do praktyki w latach dziewięćdziesiątych. Rozpatrzone projekt precyzujący kierunki doskonalenia edukacji narodowej. W obradach uczestniczył prezes ZG ZNP — Kazimierz Piłat.

PREZYDIUM ZG ZNP

Na posiedzeniu Prezydium ZG ZNP, które odbyło się 16 września br., rozpatrzono następujące problemy: główne kierunki działalności ZNP w zakresie ochrony zdrowia, informacji o pracy Wydziału Gospodarczo-Inwestycyjnego ZG ZNP oraz o przebiegu kursów wakacyjnych. Prezydium postanowiło między innymi: uczynić przedmiotem analizy Komisji Socjalnej ZG ZNP wyniki badań stanu zdrowia nauczycieli; zobowiązać instancje związkowe do wzmocnienia kontroli nad prawidłowością wykorzystania funduszu na pomoc zdrowotną; wystąpić do MOiW o uporządkowanie stanu prawnego w zakresie planowania i organizacji opieki zdrowotnej nad dziećmi i młodzieżą szkolną oraz do ministrów: oświaty i wychowania, a także zdrowia i opieki społecznej — o opracowanie i wdrożenie programu poprawy opieki lekarskiej nad pracownikami oświaty. Oceniono pozytywnie przebieg i organizację kursów wakacyjnych, w których wzięło udział 233 działacze związkowych z poszczególnych okręgów. Jednocześnie postanowiono wyjaśnić przyczyny niewykorzystania wszystkich miejsc w ośrodkach kursowych.

Z WIZYTĄ PRZYJAŹNI W KRN ZNP

Na zaproszenie Krajowej Rady Nauki ZNP przebywała w dniach 12—19 września br. delegacja Związku Pracowników Nauki Białegostaw, z prof. dr. Lubomirem Dinewem, wiceprzewodniczącym Związku — na czele. Delegacja przebywała w Warszawie oraz w Krakowie, gdzie m. in. uczestniczyła w spotkaniu w Akademii Górniczo-Hutniczej. W czasie pobytu w Warszawie odbyły się robocze rozmowy z kierownictwem KRN i ZG ZNP; rozważano możliwości intensyfikacji form współpracy dwustronnej oraz na arenie międzynarodowej. Goście złożyli też wizytę w Politechnice Warszawskiej.

ZWIĄZKOWE SPOTKANIA

Wiceprezes ZG ZNP, Michał Langowski spotkał się 20 września, w siedzibie Związku w Warszawie, z działaczami związkowymi z Rzeszowa oraz Przemysła. Podobne spotkanie odbyło się 21 września w Sokółce Podlaskiej, z udziałem członków Związku z ww. miasta i gminy. Dyskutowano nad przebiegiem realizacji programu działania ZNP ze szczególnym uwzględnieniem problemów dotyczących warunków życia i pracy pracowników oświaty i wychowania. Dokonano też wymiany poglądów na temat przebiegu kampanii sprawozdawczo-wyborczej w ogniwach ZNP. Z kolei 21 września br. grupa ZNP z Opola spotkała się z sekretarzem ZG ZNP, Zbigniewem Cierpką.

PLENUM ZO ZNP W SUWAŁKACH

Przedmiotem obrad plenarnych Zarządu Okręgu w Suwałkach (21 września br.) były sprawy programowe i organizacyjne. W części organizacyjnej Zarząd Okręgu przyjął rezygnację Józefa Murawskiego z funkcji prezesa. Funkcję tę powierzono, w wyniku tajnego głosowania, Andrzejowi Todorowskiemu. W obradach plenum uczestniczył członek kierownictwa ZG ZNP.

MISTRZOSTWA POLSKI W STRZELECTWIE

W Warszawie odbyły się 14 i 15 września br. Indywidualne Mistrzostwa Polski pracowników oświaty i wychowania w strzelectwie sportowym. W imprezie, którą zorganizował ZG ZNP, uczestniczyło około 20 zawodników i 15 zawodniczek reprezentujących poszczególne okręgi ZNP. W kategorii kobiet padły następujące wyniki: Bożena Kulczyńska — 177 pkt. (Radom); Renata Samocul — 170 pkt. (Biała Podl.); Iwona Cichońska — 167 pkt. (Wrocław); Grażyna Moskalić — 159 pkt. (Kalisz); Klaudia Sarana — 151 pkt. (Bydgoszcz); Bogdana Haberlińska — 148 pkt. (Ełbląg). W kategorii mężczyzn: Kazimierz Gil — 180 pkt. (Kalisz); Andrzej Frackiewicz — 178 pkt. (Legnica); Jan Heś — 176 pkt. (Krosno); Józef Turzyński — 172 pkt. (Bydgoszcz); Michał Kiryłuk — 172 pkt. (Biała Podl.); Bogusław Ziomek — 171 pkt. (Katowice). W zakończeniu mistrzostw uczestniczyli przedstawiciele ZG ZNP oraz MOiW.

REGATY W AUGUSTOWIE

Zgodnie z programem porozumienia o współdziałaniu, podpisanym przez ZG ZNP i GZP WP, odbyły się w dniach 18—21 września br. w Augustowie — regaty żeglarskie, z udziałem drużyn ZG ZNP i LWP (Wojska Obrony Powietrznej Kraju). W regatach uczestniczyło łącznie 10 załóg; po 5 z każdej strony. Puchar prezesa ZG ZNP zdobyła reprezentacja nauczycieli. W klasyfikacji indywidualnej pierwsze trzy miejsca zdobyły następujące załogi: 1. Załoga WOPK — Antoni Kisielewski, Zdzisław Kierzek i Ryszard Banaszak; 2. Załoga ZNP — Andrzej Rosicki, Ryszard Stanczek, Jerzy Urban; 3. Załoga ZNP — Jerzy Rosicki, Edward Sadowski, Czesław Sosulski. W uroczystym zakończeniu regat uczestniczyli m. in.: minister oświaty i wychowania, Bolesław Faron oraz wiceprezes ZG ZNP, Jan Zaciura.

NA PEWNO NAS NIE ZAWIEDZIE

ZDZISŁAWA GNOIŃSKA — reprezentująca środowisko bocheńskich nauczycieli, znajduje się na pierwszym miejscu listy Okręgu Wyborczego nr 66 w Tarnowie. Jej kandydaturę na posła na Sejm IX kadencji wysunął Zarząd Okręgu ZNP w Bochni.

Urodziła się w 1936 roku w Krakowie, obecnie mieszka w Bochni i pracuje jako nauczycielka biologii w Zespole Szkół Ogólnokształcących w Bochni. Jednocześnie jest aktywnym członkiem ZNP oraz radną Wojewódzkiej Rady Narodowej w Tarnowie, bezpartyjna.

Nie zdarza się zbyt często, aby wyróżniające osiągnięcia w pracy zawodowej łączyć z równie aktywnym uczestnictwem w ruchu społecznym i związkowym swojego środowiska. Osoby takie, a także ich oddanie, zaangażowanie zasługują na szczególną uwagę i szeroką prezentację.

Kol. Zdzisława Gnoińska ukończyła studia w Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego w Krakowie i po uzyskaniu tytułu magistra wychowania fizycznego, w 1958 r., rozpoczęła pracę w szkolnictwie. Następnie podjęła studia zaoczne na Wydziale Biologii Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Krakowie. Ukończyła je, uzyskawszy dyplom magistra biologii, w 1967 r.

Kolejnym jej sukcesem jest obrona pracy doktorskiej, która przyniosła zasłużony tytuł doktora nauk przyrodniczych (1978 r.).

Tak dogłębne przygotowanie teoretyczne połączone z pracą dydaktyczno-wychowawczą dają efekty w



postaci zorganizowania i prowadzenia przez kol. Gnoińską pracowni biologicznej, a w niej corocznego przygotowania młodzieży do uczestnictwa w olimpiadach przyrodniczych i chemicznych. Pod jej kierunkiem, do szczybla olimpiady okręgowej zakwalifikowało się 106 uczniów, z czego 22 wykazało taki poziom wiedzy, który umożliwił im start w olimpiadzie centralnej, a troje zostało jej laureatami.

Swoimi umiejętnościami i doświadczeniem zawodowym dr Gnoińska dzieli się na łamach czasopism metodycznych i naukowych, m. in. „Biologia w szkole”, „Folia biologica”. Osiągnięcia w zakresie pracy wychowawczej, aktywna działalność publicystyczna, poparta

doświadczeniem zgromadzonym przez lata pracy, stały się podstawą do uzyskania przez nią trzeciego stopnia specjalizacji zawodowej, już w pierwszym roku funkcjonowania tego systemu (1984 r.).

Jest także zaangażowana w pracy społecznej. Jako wieloletni działacz Związku Nauczycielstwa Polskiego pełni funkcję wiceprezesa Zarządu Oddziału w Bochni, jest członkiem Zarządu Głównego ZNP w Warszawie. Praca w Związku na szczeblu oddziału i w Zarządzie Głównym pozwoliła jej poznać, w sposób wielostronny, problemy oświaty i stanu nauczycielskiego.

Doświadczenia te wykorzystuje jako radna Wojewódzkiej Rady Narodowej w Tarnowie, pełniąc funkcję zastępcy przewodniczącego Komisji Oświaty i Wychowania. Mandat radnej piastuje drugą kadencję.

Jest również członkiem Plenum Zarządu Wojewódzkiego Ligi Kobiet Polskich w Tarnowie i członkiem Prezydium Zarządu Miejskiego LKP w Bochni. Jako reprezentant Zarządu Oddziału ZNP jest członkiem Miejskiego Komitetu Narodowego Czynu Pomocy Szkole.

Za swoją pracę zawodową i społeczną kol. Zdzisława Gnoińska została odznaczona Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Złotą Odznaką ZNP, Medalem XL-lecia PRL, Odznaką za Zasługi dla Województwa Tarnowskiego. Wpisano ją do Księgi Zasłużonych dla Województwa Tarnowskiego oraz Księgi Zasłużonych dla Miasta Bochni i wyróżniono licznymi nagrodami i dyplomami.

Jest szczególnie czynna w pracy Związku Nauczycielstwa Polskiego, brała znaczący udział w jego reaktywowaniu. W środowisku oceniana jako uczynna, koleżeńka.

Tak szeroka działalność zawodowo-społeczna, obecność w wielu środowiskach i kręgach związanych z oświatą, władzą terenową i wojewódzką, znajomość spraw i umiejętność współdecydowania o istotnych problemach najbliższego otoczenia, miasta, województwa — są najlepszą rekomendacją kol. Zdzisławy Gnoińskiej na posła PRL.

KTO

WALCZY

TEN

ZWYCIĘŻA...

Pilaszków, zabytek Muzeum Narodowego w Warszawie, znany od 1359 r. jako Pelascowo, położony w odległości 3 km na zachód od Łowicza. Obecnie mało znany, ale jakże drogi naszemu sercu, godny przypomnienia z okazji 80-lecia ZNP szerszemu ogółowi członków Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Tu bowiem, w Pilaszkowie, w okresie walk rewolucyjnych, gdy na ulicach Warszawy i Łodzi lała się krew manifestujących robotników, 1 października 1905 roku zrodził się nasz związek na tajnym zjeździe delegatów tajnych kół nauczycieli szkół ludowych z Królestwa Kongresowego.

Zjazd został zwołany z inicjatywy Stefani Sempołowskiej i nauczycieli szkół ludowych powiatu łowickiego, przy poważnym wsparciu działaczy społecznych i politycznych z Warszawy i Łodzi. Obrady odbywały się w budynku szkoły początkowej (którą kierował Stanisław Najmoła) pod przewodnictwem Zygmunta Nowickiego, późniejszego prezesa Zarządu Głównego ZNP, przewodniczącego TON (zginął w Powstaniu Warszawskim).

Nad bezpieczeństwem zjazdu czuwał miejscowi chłopcy zorganizowani przez Teofila Kurczaka, posła na sejm 1919 roku. Atmosfera zjazdu była gorąca. Wystąpienia Stefani Sempołowskiej zagrzewały do walki o szkołę polską, a jej wezwanie wyrażone słowami: „Kto walczy, ten zwycięża, jutro do walczących należą”, zadecydowały o treści uchwał zapadłych na zjeździe.

Zjazd pilaszkowski zaważył na losach polskiego szkolnictwa i oświaty w trzech zaborach. Pod egidą zorganizowanych nauczycieli w związku nauczycielskie dźwigało się szkolnictwo i oświata. A nauczycielowi szkoły ludowej, często zastraszonemu przez carską administrację dodawał odwagi i ukazywał jego wartość i miejsce, które powinien zajmować.

Uczestnicy nauczycielskiej wyieczki — emeryci i renciści członkowie ZNP z Ostrowca Świętokrzyskiego, zwiedzając w sierpniu Izbę Pamięci w Pilaszkowie, wzbogacili swoją wiedzę o historii Związku Nauczycielstwa Polskiego, mieli także okazję do złożenia hołdu tym, którzy w mrokach niewoli walczyli o najszlachetniejsze ideały polskości — mowę i polską kulturę.

Zwiedzającym Izbę Pamięci w pilaszkowskiej szkole nasuwają się myśli, co do wzbogacenia jej pewnymi eksponatami, zwłaszcza umieszczenia na honorowym miejscu tablicy z nazwiskami możliwie wszystkich uczestników tajnego zjazdu delegatów szkół ludowych z Królestwa Polskiego 1 października 1905 roku.

JÓZEF NIEDZIELSKI
Sekcja Emerytów i Rencistów
Ostrowiec Świętokrzyski

ŚWIAT

40 LAT ONZ

Jubileusze skłaniają zazwyczaj do podsumowań i refleksji, bilansowania zysków i strat, osiągnięć i porażek, spojrzenia wstecz i w przyszłość. Tak jest również w przypadku 40-lecia ONZ.

Pisząc jednak o dokonaniach ONZ warto zwrócić uwagę i na jej poprzedniczkę — Ligę Narodów, z którą związane były tak wielkie nadzieje. Tym większe, iż dla wielu ludzi owej epoki I wojna światowa była prawdziwym szokiem. Nawet najtęższe głowy w sztabach obu walczących stron nie zdawały sobie sprawy, oczywiście, w początkowej fazie wojny, jakie skutki ona przyniesie.

Jednak Liga Narodów była organizacją bezsilną i kadłubową. Bo jakżeś inaczej można nazwać, powołaną z inicjatywy amerykańskiego prezydenta Wilsona, organizację, do której nie przystąpiły Stany Zjednoczone, w której przez wiele lat nieobecny był Związek Radziecki, z której faszystowskie państwa — takie jak Niemcy, Włochy, Japonia — wystąpiły w połowie lat trzydziestych. I choć glob nasz przetrwał bez wojny światowej dwadzieścia lat, preludia do niej „grano” w Mandzurii, Abisynii, Hiszpanii. Światowy konflikt przybliżała polityka Hitlera, najpierw militaryzacja Niemiec, później wkroczenie do Nadrenii, anshlus Austrii, aneksja Sudeków itp.

A sirzaly na Westerplatte były wymierzone nie tylko w Polskę, również w Ligę Narodów. Po II wojnie światowej chciano wyciągnąć wnioski z przeszłości, m. in. przez powołanie do życia organizacji mającej na celu powstrzymanie i ograniczenie

konfliktów oraz preferującej politykę pokojową. Na jej twórców nałożono większe — niż to zakładała ongiś Liga Narodów — obowiązki. Przestała obowiązywać pełna równość, co odzwierciedla struktura ONZ, istnienie Rady Bezpieczeństwa i Zgromadzenia Ogólnego. I to było ważnym czynnikiem współdecydującym — jak twierdzą niektórzy znawcy — o sukcesach ONZ. Bo 40 lat bez wielkiego konfliktu, to podstawowe osiągnięcie. Ale nie jedyne, jest ich więcej.

Kadłubowość Ligi Narodów przejawiała się m.in. w tym, iż była to organizacja stricte polityczna, o bardzo wąskim polu widzenia świata. To okazało się jej słabością, bo w gruncie rzeczy nie miała zbyt wiele do zaoferowania i tak wąskiej, ówczesnej społeczności międzynarodowej.

Inaczej jest w przypadku Organizacji Narodów Zjednoczonych. Tutaj możemy mówić o istnieniu „ożenotowskiej wielkiej rodziny”, bo tak czasem nazywane są agendy i organizacje wyspecjalizowane. Objęły one swym zasięgiem działania praktycznie wszystkie sfery życia ludzkiego, mają wiele do zaoferowania, stale też wzrasta zapotrzebowanie na ich działania.

Samych tylko wyspecjalizowanych agend — takich jak: UNICEF, UNESCO, FAO, WHO, jest kilkanaście, a przecież niezależnie od tego, w miarę potrzeby, powołuje się doraźnie różnego rodzaju organizacje, przygotowuje programy.

Współczesny świat ma do rozwiązania wiele wspólnych problemów ludności.

ONZ pokazuje ich znaczenie, konieczność rozwiązywania trapiących ludność bolączek. Stąd też trudno jest właściwie wyobrazić sobie funkcjonowanie bez niej współczesnego świata.

Organizacji Narodów Zjednoczonych zarzuca się jednak — zwłaszcza w USA i części krajów zachodnich — wiele. Oskarża się ją o małą efektywność działania, a nawet marnotrawienie środków, gadulstwo. Może trochę w tym jest racji, ale trzeba zachować proporcje przy ferowaniu ocen.

ONZ nie jest korporacją gospodarczą obliczoną na zysk, tak jak wielkie koncerny. Nie jest też rządem światowym, a co najwyżej parlamentem przedstawicieli suwerennych państw, stąd też każda rezolucja czy deklaracja to wyraz dobrej woli, chęci politycznego działania.

Stąd konieczność dochodzenia do kompromisów, ustalania zgody wobec pojawiających się problemów. Później dopiero następuje stopniowa konkretyzacja stanowiska, zaangażowanie w sprawę większej liczby państw. Faktem jest, że niektóre problemy udało się praktycznie rozwiązać do końca. Takie jak np. dekolonizacja, pozostała tylko sprawa Namibii, zagadnienia rasowe w RPA i kilka niewielkich terytoriów zależnych.

Przykłady można by mnożyć. Spójrzmy jednak w przyszłość. Problemów do rozwiązania jest coraz więcej, dotyczą one często regionów pozaeuropejskich, ale przede wszystkim państwa stanowią większość, one też są bardzo aktywne w ONZ. Dodajmy, że i Polska w minionym 40-leciu odcisnęła swój ślad wszędzie tam, gdzie powiewa niebieska flaga ONZ.

Rola ONZ w coraz większym stopniu polegać będzie na podejmowaniu takich problemów, które dotyczą nas wszystkich, mieszkańców Ziemi. Można oczekiwać, że najbliższe lata przyniosą rozwiązanie wielu trudnych zagadnień, niemożliwych do rozwiązania w ramach jednego czy nawet grupy państw.

LECH KAŃTOCH

W JAKIM TONIE GAUDEAMUS?

CD ZE STR. 1

I tak od kilku już lat spada liczba kandydujących do politechnik, maleje liczba się rozmiary kształcenia. Dział nowy rok zainauguruje ledwie 80 proc. tej liczby studentów, którzy studiowali w połowie ubiegłej dekady. W 1981 roku o indeks Politechniki Poznańskiej ubiegano się 1766 kandydatów, w bieżącym roku — tylko 777. W tym samym czasie wydatnie zmniejszyły się limity przyjęć przyznawane szkołom przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyzszego: z 800 miejsc w 1981 roku do 563 w bieżącym. W pewnym sensie trudno ministerstwu brać za siebie „obcinanie” limitów, tak dopasowanie do obecnego spadku zainteresowania młodzieży szkoła. Dla uczelni jednak ta sytuacja jest raczej niekorzystna.

Egzaminy wstępne okazały bowiem swój najważniejszy skutek — konkursu wyłaniającego najlepszych, skoro wystarszy zdać egzamin, by uzyskać indeks. Nie zawsze co prawda na wybranym kierunku, ale przecież tej właśnie szkoły. Co gorsza wiele do tyżycenia pobierania przygotowanie młodzieży do egzaminacyjnej próby. Jest to więc sytuacja podwójnie niekorzystna.

Spójrzmy także na drugą stronę tego „łosiowego” medalu. Pomimo i mniejszej liczby kandydujących trudniej wybrać studentów bardziej dobrych i dobrych, częściej są w klasie na tym kłopoty z wyselekcjonowaniem ewentualnych kandydatów na asystentów, przyszłych pracowników naukowych szkoły. Czym to grozi w przyszłości, nie trzeba w tym miejscu wyjaśniać.

Bądźmy jednak szczery, malejąca liczba kształconych nie ma na sobie jednak pewne przytywy. Przede wszystkim, umożliwia większą indywidualizację pracy ze studentami, powierzenie im samodzielniejszych zadań projektowych czy laboratoryjnych. Po wtóre, sprzyja tworzeniu małych grup ćwiczeniowych (laboratoryjnych, seminaryjnych i projektowych). Na przykład, jeśli do 1980 roku przeciętna grupa laboratoryjna liczyła 12-14 osób, to w tym roku od 6 do 10 a w laboratorium mikrokomputerowym nawet 4). Można by zatem powiedzieć, że umożliwia to powrót do starych relacji mistrz-uczeń.

Czy jest tak w rzeczywistości? Gdy stawiałem to pytanie myślałem, że mam, miałem wrażenie, iż dotknąłem jakiegoś niezwykle gorzkiego dla nauczycieli akademickich problemu. Niestety, trudno by mówić o powrocie czy choćby odradzaniu się niegdysiejszych relacji.

By wytworzyć się relacje typu mistrz-uczeń, potrzebna jest chęć z obu stron. A z tym, jak twierdził prektor uczelni ds. kształcenia, docent Tadeusz Kaszmarek, jest źle. Wszystko wskazuje na to, że nie są tym zainteresowani studenci. Owszem, postrzegają się na zajęcia obligatoryjne, ale już na wykładach nieobowiązkowych audytoria świecą pustkami. Trudno o relacje mistrz-uczeń, skoro potencjalni uczniowie nie chcą korzystać z konsultacji, a jeśli pokadają się u profesora, to jedynie na ostatnim etapie przygotowywania pracy dyplomowej. Jeśli z grupy prowadzonej przez doc. Kaszmarka, liczącej 20 osób, na wykłady systematycznie uczęszczają jedynie 3-4, najczęściej zaś po drugiej stronie katedry zasiada raptem 6-9 osób, to cóż tu mówić o mistrzostwie, uczniach itp. Niestety, tego typu zjawiska nie marodziły się wczoraj. Jest to proces trwający, pogłębiający się już od kilku lat — zauważa się w Politechnice Poznańskiej.

Nie nie dzieje się bez powodu — można usłyszeć w uczelni. Do takiej sytuacji przyczyniła się wyraźna erozja prestiżu zawodu inżyniera, spadek motywacji do studiowania w ogóle. Takim stanem można zaobserwować w wielu wyższych szkołach, jednak najbardziej widocznie się on w uczelniach technicznych. Młodzież po prostu zmimo kalkulująca, nie bardziej się opłaca. Z rachunków wynika, że najmniej — być inżynierem. Problem w tym, twierdził prektor Kaszmarek, że obniżenie się poziomu motywacji do dostro-

Politechnika Poznańska: prawie 1000 nauczycieli akademickich, w tym 126 profesorów i docentów; 4,4 tys. studentów, a wśród nich 3,5 tys. na studiach stacjonarnych; 5 wydziałów, cztery mające prawa doktoryzowania i habilitowania, 17 instytutów, 12 kierunków, 24 specjalności. Około 1000 absolwentów rocznie.

nalenia umiejętności, przesunięcie z „być” na „mieć” z każdym rokiem pogłębia się.

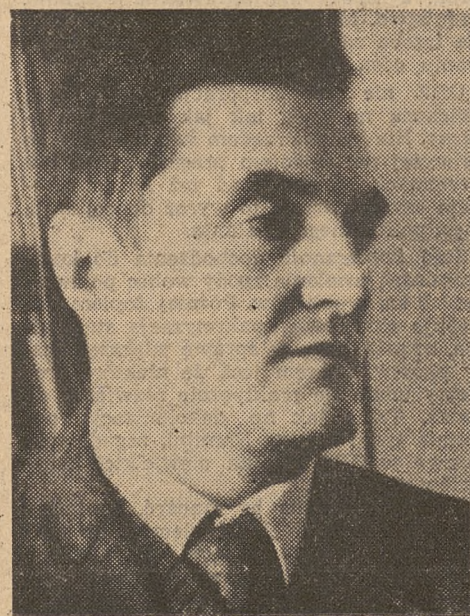
Pytam więc, jak uczelnia wychowuje studentów, co usiłuje zaszczerpić w umyśle, by owo „mieć” nie stało się jedynym drogowskazem na resztę ich życia. Moi rozmówcy twierdzą, że i tu, mimo starań, trudno o sukcesy. Młodzież jest w ogóle raczej mało aktywna, zauważa doc. Kaszmarek, organizacje studenckie nieliczne, w samorządzie póki co działało niewiele. A po wtóre... trudno wychowywać kogoś, słysz, kto przychodzi do uczelni z pokątnym bagażem doświadczeń, ukształtowanym systemem ocen, wartości i poglądów. Można więc jedynie albo coś wzmacniać, albo osłabiać i owszem, czyni się to, lecz trudno powiedzieć z jakim naprawdę skutkiem. Przyjęto w uczelni program pracy wychowawczej i na tej podstawie sprawdza się siłę oddziaływania nauczyciela.

Ale, zauważam, program przyjęto nie jednogłośnie. Dwie znaczące siły — związek zawodowy i organizacja partyjna oceniły go negatywnie.

No cóż, mimo to program przyjęto z wielką większością głosów kolegium rektorskiego, słyszę w odpowiedzi. A po drugie — dajmy mu się nieco sprawdzić. Czy naprawdę aż tak ważna jest obudowa słowotwórcza?..

Póki co, brak chętnych do studiowania nie grozi uczelni ani zmniejszaniem zatrudnienia nauczycieli, ani ewentualnym kadrowym krachem, niemniej o następcach dzisiejszych profesorów, docentów mówi się tu z nieukrywaną troską. „Sprawa następców” zaczyna przypominać zamknięte koło: trudno jest wybrać najlepszych z mniejszej liczby studiujących, a z drugiej strony coraz mniejsze są możliwości zatrudnienia chętnych, bo... obniża się liczba kształconych.

Tę i tak trudną sytuację komplikuje jeszcze bardziej „problem adiunktów”.



Doc. dr hab. inż. Andrzej Barbacki:

„Nasi kontrahenci pytają: ile możecie nam tego sprzedać? I wtedy kończą się targi. Bo coś my możemy zaproponować: prototyp, gramy odczynników. Takie są rezultaty braku własnego zaplecza, rozwiniętej bazy doświadczeniowej, która umożliwiałaby produkcję, choćby małej serii. W ten sposób częstokroć więdą nawet te najlepsze szanse eksportu przetworzonej myśli naukowej”.

którego dotychczas i tu nie udało się rozwiązać. Stawiają oni największą grupę w politechnice. Jest ich ponad cztery razy więcej niż samodzielnych pracowników naukowych. W większości zakładów adiunkci przeważają liczebnie. Są i takie, gdzie jest ich ponad 70 proc. Najprościej byłoby zwolnić niepotrzebnych. Ale dokąd mieliby pójść? Przemysł adiunkta nie chce, ponieważ jest zbyt oderwany od produkcji. Szkoła i administracja też nie, bo za mądry. Wygląda na to, usłyszałem w Politechnice Poznańskiej, że szkolnictwu wyższemu i adiunktom przychodzi płacić gorzki rachunek za owo nieme założenie sprzed lat, iż każdy, kto wchodzi do uczelni jako asystent, musi opuścić ją jako profesor. W wielu przypadkach są to rachunki nieudanego modelu życia, karier naukowych i zawodowych. Oto jeszcze jeden problem. Kadrowy i moralny, z którym szkoły wyższe wkraczają w nowy rok akademicki.

Jest to naprawdę poważny kłopot, twierdzi prektor uczelni ds. spraw rozwoju, profesor Wiesław Jankowiak. Adiunkci blokują niejako ruch kadrowy. Ich nadmiar, przy obowiązującej blokadzie etatów, uniemożliwia i tak już trudny nabór młodych adeptów nauki. Niektóre wydziały mogą utracić prawa doktoryzowania i habilitowania z powodu choroby czy przejścia na emeryturę większej grupy samodzielnych pracowników naukowych. Właśnie dlatego tak wielką troską otacza się w politechnice tych adiunktów, którzy mają zaawansowane przewody habilitacyjne. Ale jest jeszcze inny powód naszego zainteresowania. Przed politechniką otwierają się możliwości zwiększenia liczby wydziałów o wydział architektury oraz elektroniki. Ale jak kreować nowe wydziały, by nie osłabił starych?

Póki co, obie strony żyją jakby w psychicznym, coraz głębszym, dyssonancie. Wielu adiunktów coraz bardziej zaczyna się obawiać zwolnienia z politechniki, w jej władzach zaś trwa coś na kształt oczekiwaniam, czy ktoś jednak zechce uczelniom pomóc w rozwiązaniu tego problemu. Ministerstwo powiada — radźcie sobie sami. Uczelnia sama sobie w tym względzie „nie rądzi”. Mimo że czas pogania.

O czym można by więc mówić z optymizmem? W Politechnice Poznańskiej najlepszą perspektywę rokuje... współpraca z przemysłem. Wprawdzie i ta dziedziną przysparza licznych zmartwień, jest ich jednak o wiele mniej, niż można byłoby się spodziewać. To, co gdzie indziej jest pięta Achillesowa, tutaj stanowi mocny niewątpliwie punkt. Uczelnia zawarła 80-88

Prof. dr hab. inż. Wiesław Jankowiak:

„Problem adiunktów jest ważny choćby ze względu na potrzebę odciążenia kadry samodzielnych pracowników naukowych. Średnią wieku członków rad sięga na niektórych wydziałach sześćdziesiątki. Jest to wiek, kiedy najwyższy czas pomyśleć o swych następcach. Kłopot w tym, że brakuje etatów dla ewentualnych kandydatów na naukowców”.

porozumień o współpracy z zakładami przemysłowymi tego regionu. O ile w latach siedemdziesiątych badania naukowe, tu prowadzone, w 80 proc. finansowane były centralnie, o tyle dziś ich koszty w 80 proc. pokrywają przedsiębiorstwa zlecające konkretne badania, pragnące na tej drodze rozwiązać własne problemy techniczne i organizacyjne. A współpraca z przemysłem powinna przynieść w tym roku ponad pół miliarda złotych.

Ile zakładom przemysłowym daje współpraca z politechniką? Nie sposób wymienić wszystkie opracowania wykonane przez uczelnia. Zilustrujmy to więc tak — jak wyliczono w uczelni już w pierwszym roku po wdrożeniu opracowań wykonanych w Politechnice — zyski osiągane z tego tytułu przez konkretny zakład wynoszą przeciętnie... 100 mln złotych. Jedną złotówką zainwestowaną w zlecenie badań w Politechnice daje od 4 do 17,9 złotych zysków na zmodernizowanej lub nowej produkcji. Tak przynajmniej liczą w szkole. I chyba dobrze liczą, skoro rozmówień z przemysłem nie brakuje. No, a z drugiej strony, rośnie fundusz nagród z tytułu wdrożeń, rosną wypłaty dla twórców. Można by powiedzieć, że przełamało w Poznaniu stereotyp, iż w Polsce zrobić można na kwiatkach, na nauce zaś nie. Oto bowiem, jak mnie poinformowano, niektórzy naukowcy otrzymują już z tego tytułu premie sięgające kilkuset tysięcy złotych, a wkrótce prawdopodobnie uczelnia będzie miała pierwszego milionera.

Jak twierdził prektor uczelni ds. nauki, doc. Andrzej Barbacki, Politechnika potrzebna w odpowiednim momencie wyłazi naprzeciw potrzebom przemysłu. Jak to się dzieje, można by więc zapytać, że w innych ośrodkach, gdzie od lat istnieje szkoły techniczne, takich stosunków nie udało się ukształtować? Jak to się dzieje, że tu, w Poznaniu, nim jeszcze weszły w życie przepisy prawne, pomysłało o eksporcie myśli naukowej uczelni?

Naturalnie nie znaczy to, że w tej dziedzinie nie istnieje żadne poważniejsze kłopoty. Wprost przeciwnie. To, co się robi dla przemysłu, na przykład, okupione bywa ogromnymi zmaganiem. Wymienimy niedostatek aparatury, sprzętu, odczynników itp. Większość aparatury naukowo-badawczej jest niezbyt nowoczesna. Jedynie 30 procent liczy sobie mniej niż 5 lat. Coraz częściej brakuje części zamien-



Doc. dr hab. inż. Tadeusz Kaszmarek:

„Jeżeli struktura przemysłu nadal będzie daleka od nowoczesności, jeżeli zbraknie w nim tendencji rozwojowych, opartych na własnych technologiach, wówczas będziemy mieli do czynienia z jeszcze większą degradacją społecznego statusu inżyniera. Tak dzieje się zawsze, gdy ten, kto powinien być twórcą, występuje jedynie w roli administratora czy powielającego cudze pomysły. Nic więc dziwnego, że tak często mówi się u nas o nadmiarze inżynierów. Jest ich istotnie nadmiar, ale w administracji, biurach, urzędach. Jeśli przemysł zacznie się wreszcie reformować, zdecyduje się na rzeczywiste innowacje, wówczas z pewnością inżynierów zabraknie”.

nych, coraz trudniej utrzymać w ruchu to, co gdzie indziej, jako dawno już technicznie się zestarzało — wyszło z obiegu. Można więc powiedzieć, że właśnie potrzeby „doposażenia” laboratoriów wymusiły eksport. Aby bowiem osiągnąć dziś w Politechnice takie wyniki, jakie w podobnej uczelni europejskiej osiąga się wręcz w kilka godzin, tu pracować trzeba miesiąc, dwa. To jest właśnie owa najistotniejsza bariera w doganianiu Europy i świata. Bo, jak twierdzi doc. Andrzej Barbacki, pomysłów w Polsce nie brakuje, brakuje приборов, nowoczesnej aparatury. O to potyka się nieustannie niedoinwestowana polska nauka.

Politechnika pomaga sobie zatem jak tylko może, ale przy okazji padają tu i takie pytania: Jeśli producent sprzedaje za granicę gotowy wyrób, wymyślony i sprawdzony w uczelni, czy nie powinna ona mieć z tego coś więcej niż tylko satysfakcję?

Problemem jest zaplecze doświadczalne, gdzie powstają m.in. prototypy. Można by robić więcej, niż pojedyncze „wystawowe” egzemplarze, można by właśnie tu zatrzymać doświadczonych i wykwalifikowanych adiunktów i dać zarobek także studentom, którzy dziś biegają za malowaniem mieszkań, przeprowadzkami itp. W sprawie bazy doświadczalnej rysują się przed politechniką lepsze perspektywy ale póki co, nie zapraszamy...

W nowy rok akademicki wkroczy zatem Politechnika Poznańska właściwie z takim samym bagażem problemów, jak te z kilku ostatnich lat. Niewiele wskazuje na to, by można je w miarę szybko rozwiązać. Z wielkim trudem udało się na przykład wstrzymać odpływ z uczelni pracowników inżynierjno-technicznych, ale kto zagwarantuje, że sytuacja z lat 1982-83 nie powtórzy się? Głębki uczeniejnie niustanowny niedostatek materiałów, podzespołów, odczynników, bez których cała naukowo-laboratoryjna robota ślimaczy się, a bywa, że idzie na marne. Jest więc wiele powodów do niepokoju. W dobie, gdy tak wiele oczekujemy od nauki, gdy tak wiele od niej zależy, nauka akademicka nadal tkwi w morzu potrzeb niezaspokojonych. I niewiele zmienia tę ocenę fakt, że w Politechnice Poznańskiej udaje się zachować ciągłość procesu: badania — rozwój — wdrożenie — upowszechnienie. To swego rodzaju „specyfika” tej uczelni. Gdzie indziej łańcuch ten rwie się już na drugim ogniwie. Zbyt często.

Po wizycie w Poznaniu nasuwa mi się refleksja — jaka jest w ogóle przyszłość studiów technicznych, modelu kształcenia dla zawodów technicznych. Czym może grozić widoczne od kilku lat preferowanie najniższego (byle szybko uzyskiwanego) wykształcenia zawodowego? Jakie reperkusje przyniesie ograniczenie rozmiarów kształcenia w politechnikach i wyższych szkołach technicznych? Wydaje mi się, że jako wyjątkowe należałoby uznać tłumaczenia, iż jest to efekt przede wszystkim braku chętnych, że odchodzenie od studiów politechnicznych to proces znany przecież całemu światu. W Polsce ma on całkiem inne podłoże. Nie jest nim nasyconie rynku, ale pauperyzacja zawodu, zmiana roli i tradycyjnego usytuowania inżyniera. Kłopot w tym, że widzą to wszyscy, ubolewa większość, ale nie się nie zmienia.

WOJCIECH SIERAKOWSKI

Przypomnijmy, przed rokiem było tak: brakowało im przede wszystkim stabilizacji rozumianej jako jasność perspektyw, miejsca i roli Związku w uczelni; starano się wypchnąć ich z pozycji już zdobytych, zaobserwowali bowiem powolny acz systematyczny proces przejmowania uprawnień związkowych przez komisje powołane decyzją władz uczelni. Nie było też jeszcze wypracowanych form uczestniczenia Związku w życiu szkoły.

Jak jest teraz? Co się od tamtej pory zmieniło?

ILE MIEJSCA DLA ZWIĄZKU?

HALINA DRACHAL

— Wreszcie postulaty związkowe zostały spełnione w znowelizowanej ustawie o szkolnictwie wyższym. Jesteśmy pełnoprawnymi przedstawicielami we wszystkich władzach kolegialnych uczelni: senacie, w radach wydziałów i radach instytutów. Dlaczego jest to dla nas tak ważne? Dotychczasowa sytuacja Związku, to że wchodził on do władz kolegialnych li tylko z głosem doradczym, w naszej konkretnej sytuacji, wzbudzała uśmiech. A ja osobiście — mówi doc. dr inż. Edward Służewski, prezes RZ ZNP w Politechnice — odnosiłem wrażenie, że jestem tam traktowany jak persona non grata.

Na Politechnice rady ZNP istnieją na trzech wydziałach. Będą powoływane na następnych, bowiem kandydatów przybywa. Może też prestiż związków zawodowych wzrosnąć dzięki zapisom ustawy? Taką przynajmniej mają w Radzie Zakładowej Politechniki nadzieję. — Sam przepis nie jest tak bardzo ważny, bo i tak działalibyśmy, ale znacznie ułatwia życie — słyszę.

Co prawda wiceprezes doc. Stanisław Majchrzak twierdzi, że choć ustawa jest poważnym krokiem do przodu — jednak w konkretnych warunkach decyduje układ personalny. A związkowcy nadal czują, że są przez uczelnianą zwierzchność ignorowani. I jako ilustrację tego stwierdzenia podają przykład całkiem świeżej sprawy.

Oto rektor pisze do wojewody, że na uczelni jest jakaś grupa inicjatywna — im nie znana — zakładająca spółdzielnię mieszkaniową w Politechnice. Rektor zobowiązuje się też, że przekaże 800 tysięcy zł na cele projektowe tejże inwestycji. A przecież każde pieniądze są w tej chwili ważne, więc związkowcy chcieliby na przykład wiedzieć, kto ma być członkiem tej spółdzielni, bo jak wieść niesie — niekoniecznie sami pracownicy Politechniki. Nieobojętne jest również to, na jaką liczbę pracowników przeznaczona zostanie ta suma. Najistotniejszy dla RZ ZNP jest jednak fakt, że rektor tak bez jakiegokolwiek konsultacji wewnątrz uczelni wysłał pismo do wojewody i dopiero po fakcie przysłał im odpis.

— Dostaliśmy to wówczas, gdy okazało się, że konsultacja jest absolutnie niezbędna. Rektor zorientował się, że bez nas tego nie załatwi. Tak więc ustawa wszystkich problemów nie rozwiąże, zawsze ją zresztą można ominąć, znaleźć jakąś lukę. Jeśli nie jest np. zabronione powoływanie komisji społecznej senackiej, to się taką komisję powołuje.

I w Politechnice tak właśnie jest. Komisja ta wchodzi w kompetencje zastrzeżone dla związków zawodowych. Wielokrotnie protestowali przeciwko temu. Póki co bezskutecznie. Twierdzą więc, że

dopóki nastawienie kierownictwa uczelni do tej najliczniejszej organizacji w Politechnice nie ulegnie zmianie, to skutki ich wysiłku nie będą takie, jakich by oczekiwali. Oczywiście, przepis ustawy ten stan niechęci trochę ogranicza, ale to nie załatwia sprawy. Oczekują tu czegoś innego.

— Musiałyby zostać zmienione całe układy — twierdzą moi rozmówcy. Można współpracować po partnersku, jeśli wszyscy współpracownicy wykazują chęć ku temu.

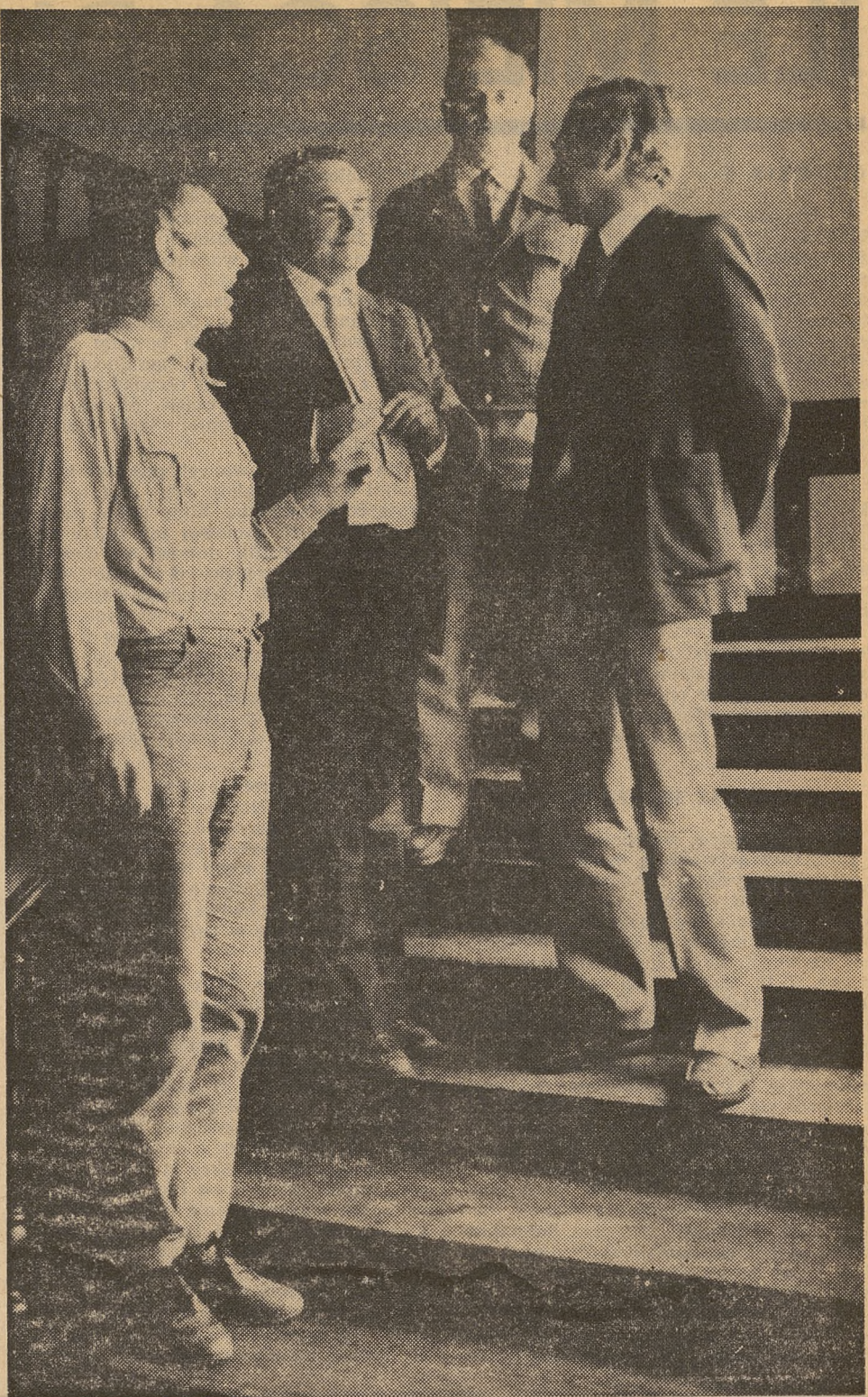
Jako niechętni partnerzy związkowcy czują się więc fatalnie. Ale od razu zastrzegają, że nie stawiają tym samym zarzutu, jakoby władze uczelni nie chciały działać dla dobra społeczności akademickiej. Jednakże uważają, że przez brak konstruktywnej współpracy działalność i władz, i Związku w wielu sprawach po prostu się rozmija. No i jest mniej skuteczna. Wspólne działanie byłoby zdecydowanie efektywniejsze od powoływania kolejnych komisji.

— Co prawda rektor i tak liczy się tylko ze zdaniem swojej komisji. Bez parafki przewodniczącego komisji senackiej niczego w sprawach społecznych nie podpisze — mówi dr Władysław Olejnik. Formalnie jest więc tak, że my coś postanawiamy, a akceptuje bądź nie, tamta komisja. Jest to więc jakby nadkomisja nad naszą.

Przyznają, że rektor ma co prawda prawo stworzyć każdą doraźną komisję senacką. I ta też miała być doraźna. Tylko jak długo ten stan doraźny może trwać — zastanawiają się. Do tej pory zresztą w Radzie Zakładowej nie doczekali się regulaminu pracy komisji senackiej, mimo że wielokrotnie o to zabiegali. Z urzędu postanowiono, że w tejże komisji dwa miejsca są dla przedstawicieli związków zawodowych, ale odmówili. Formalnie nie uczestniczą więc w pracach komisji senackiej. Natomiast, jak twierdzą, nie mają nic przeciwko temu, by w komisji społecznej czy mieszkaniowej ZNP uczestniczyli w charakterze obserwatora każdy, kto ma na to czas i ochotę.

PRZED WSZYSTKIM PROGRAM!

Aspiracje uczelni określa jej program działania. No a tego tu właśnie praktycznie nie ma. Oczywiście, dokumenty są, ale co z tego, skoro praktycznie nie realizowane. Czas wreszcie skończyć z tą prowizorką, przejść do systematycznych działań. Nie można żyć tymczasowo w nieskończoność. Istotna dla każdego jest możliwość realizacji własnych aspiracji, sformułowanie realnych celów i możliwości ich spełnienia — mówią w radzie zakładowej.



Stoją od lewej: dr inż. Władysław Olejnik — przewodniczący Komisji Społecznej; doc. dr inż. Edward Służewski — przewodniczący Rady Zakładowej; doc. dr hab. — Stanisław Majchrzak — wiceprzewodniczący; dr inż. Karol Nadolny — przewodniczący Komisji Mieszkaniowej.

Fot. M. Suchecki

I tę sprawę związkowcy stawiają na plan pierwszy. Istnieje dziś pilna potrzeba sformułowania programu na miarę naszych aspiracji i możliwości — twierdzą. — Do tego chcemy się włączyć z pełnym wkładem. Jest to nasz moralny obowiązek. Chcemy konstruktywnie działać dla dobra społeczności akademickiej. Tak widzimy naszą funkcję społeczną i będziemy ją realizować.

Na początku lat siedemdziesiątych została określona porywająca wizja rozwoju uczelni. Owcześnie władze na każdą kolejną kadencję przedstawiały program realizacji celów cząstkowych, zawartych w programie perspektywnym. Wiadomo było, co zrobić można, a czego nie. I to mobilizowało ogół pracowników, a z drugiej strony zobowiązywało także władzę, chociażby do zdobywania środków na wypełnienie zadań. Ścisłe był też sformułowany sposób realizacji poszczególnych celów przez określonych ludzi. Wtedy — słyszę — wszystko współgrało, a przecież sytuacja uczelni, mimo kryzysu, aż tak bardzo się nie zmieniła.

Dlatego problem programu rozwoju uczelni związkowcy będą chcieli przedysku-

tować na jednym z najbliższych zebrań. Jeszcze w tym roku. I tu znów czynią zastrzeżenie, że nie chcieliby zbyt megalomańsko wyrażać się o swych własnych możliwościach, ale przecież ZNP jest szczególnie ważnym i w nim właśnie skupione są potencjalne siły intelektualne, które wiele mogłyby w tej materii zdziałać, a wpłynęłyby to mobilizująco na wszystkich. Tak przynajmniej uważają.

ADIUNKCI NA PLAN

Jako jedną z najistotniejszych do szybkiego załatwienia spraw tutejszy Związek traktuje problem adiunktów. Chęć zająć się nim generalnie. Praktycznie wszystkim uczelnianom na adiunktach stoją. W Poznańskiej Politechnice na Wydziale Budowy Maszyn jest ich setka. Stu adiunktów do 1987 roku powinno, zgodnie z ustawą zrobić habilitacje.



NA MARGINESIE

PEKNIĘCIE

Nie byłbym sobą, gdybym po tej wizycie nie odniósł się do jeszcze jednego problemu. Piszę o nim co prawda koleżanka powyżej, niemniej i ja chciałbym dorzucić swoje trzy grosze. Idzie mi o tę rysę, coś na kształt pęknięcia dzielącego społeczność tej uczelni. I niczego tu nie zmienia fakt, że w środowisku akademickim istnieje ono od lat, dziś bowiem nabiera jak się wydaje, innych wymiarów i znaczeń.

Co dzieli? Przede wszystkim stosunek do znowelizowania ustawy o szkolnictwie wyższym. W politechnice za nowelizacją wyraźnie opowiedziały się tylko dwa gremia — związek zawodowy

i organizacja partyjna, natomiast senat i rady wydziałów wielokrotnie protestowały przeciw zmianom w ustawie. Do podobnych podziałów doprowadziła także sprawa programu pracy wychowawczej ze studentami. ZNP i KU PZPR uważają, iż program opracowany w uczelni w zbyt małym stopniu uwzględnia wymogi i zadania wychowania socjalistycznego i dlatego należałoby go poprawić. W opozycji do nich stoją te gremia, które twierdzą, iż nie są ważne sformułowania, lecz to, czy młody człowiek będzie rzeczywistym patriotą, dobrym pracownikiem itp. Nie jest zatem ważne, twierdzą, ile razy zo-

stanie w dokumencie użyty ten czy inny wyraz. Notabene używa się na przykład słowa „socjalistyczny” tylko raz i to przytaczając odnośny fragment ustawy o szkolnictwie wyższym. Organizacja partyjna, związkowcy odpowiadają z kolei, że nie chodzi tylko o to, ile razy dany wyraz będzie zacytowany, lecz o to, jaki naprawdę charakter przybiorą działania wychowawcze.

Podobnego typu podziały istnieją jednak także i wśród studentów. Mogłem się o tym przekonać rozmawiając w Radzie Uczelnianej ZSP. Z jednej strony w zrzeszeniu cieszą się z uzyskanych w wyniku nowelizacji ustawy uprawnień, ale z drugiej przygotowują się na ostry atak jako na tych, którzy na nowelizacji skorzystali. ZSP zamierza „trzymać się środka”, problem jednak w tym, czy to się uda. Zamierzano bowiem, na przykład, współpracować z samorządem studenckim (w poprzednich semestrach) i jakoś nie wychodziło. Obecnie, gdy samorząd został rozwiązany i trzeba będzie wybierać go na nowo, szanse współpracy mogą być jeszcze mniejsze. W podobnej sytuacji

znajdzie się uczelniana organizacja ZSMP, licząca, jak na razie, 150 członków i ZMW — Wici dopiero tworząca się. W porównaniu z nimi ZSP skupiające 700 studentów to gigant, a mimo to i on czuje się niezbyt mocno.

Wyrazem owych rys i pęknięć może być skład senackiej komisji do spraw społecznych, gdzie przy miejscach dla przedstawicieli ZNP i PZPR widnieje — wakat, a także fakt odrzucenia przez organizację partyjną programu wychowawczego. W przypadku studentów będzie nim to, że w tym roku każda z organizacji na własną reke prowadziła obozy dla nowo przyjętych na studia. Nawiasem mówiąc, jeden z tych „samorządowych” obozów nie doszedł do skutku, mimo iż jak zachęcaly plakaty, zapraszano na nie nawet tych, „ze skrzywionymi kręgosłupami”.

Czy tak być powinno?

WOJCIECH SIERAKOWSKI

ILE MIEJSCA DLA ZWIĄZKU?

CD ZE STR. 5

— Nie jest tak — mówią w Radzie Zakładowej ZNP — że ludzie są niezdolni, że tej habilitacji zrobić nie potrafią, choć oczywiście i tak może się zdarzyć. Tu jednak chodzi przede wszystkim o bazę, o finanse. Skąd wziąć na to środki? Przez całe lata Wydział Budowy Maszyn miał dziedzinę habilitacji. Teraz w tak krótkim czasie miałyby je zrobić sto osób, przecież to nierealne. Wina więc nie leży tutaj tylko po stronie samych adiunktów. Ci, którzy pracowali na uczelni po kilkanaście lat, zostawili w niej kawał swego życia, samych siebie. Nie bardzo też mają gdzie odejść. Bo w przemyśle, na przykład, mało który byłby w stanie dogodzić tym, którzy trafili tam prosto po studiach. To bardzo trudne decyzje, powodujące wiele rozgoryczenia. Dlatego tą grupą musimy się zająć — twierdzą związkowcy.

W całej Politechnice adiunktów jest około 600. Dla Związku to niezwykle ważny problem. Rozwiązanie ustawowe jest takie, jakie jest, ale oni, jako Związek, czują się moralnie odpowiedzialni za los tych ludzi. Im to nie jest, i nie może być, obojętne.

WCZASY, MIESZKANIA

Sprawy socjalne, podobnie jak wszędzie i tutaj rozwiązywane są nieźle. Regulamin rozdziału wszystkich funduszy socjalnych i mieszkaniowych jest wspólnym dorobkiem obu komisji: związkowej i senackiej oraz — jak mówią — świetnie układającej się współpracy z uczelnianą służbą socjalną. I tu znów słyszę zastrzeżenie, iż istnienie dwóch takich komisji, wzajemnie się dublujących jest jednak zbędnym luksusem.

W niezwykle drastycznej kwestii mieszkaniowej Związek zamierza dokładnie przyrzeć się warunkom pracowników ubiegających się o przydział mieszkań racjonalnych. Niewielką liczbą takich mieszkań uczelnia dysponuje. Z funduszu mieszkaniowego każdy, kto tego potrzebuje, otrzymać może pożyczkę na remont, modernizację własnego „M” oraz dofinansowanie wkładu do spółdzielni. Pieniądzy jest dość i, jak do tej pory, skarg na niesprawiedliwy podział nie było.

Za swój sukces związkowcy uważają także utrzymanie na niezmiennym poziomie stawek odpłatności za pracownicze wczasy i kolonie dzieci. Najwyższa wczasowa stawka wynosi tu około 8500 zł. Przy obecnych cenach skierowań dofinansowanie wynosi co najmniej drugie tyle. Szczegółowe zbadanie warunków wypoczynku pracowników, Związek zamierza oddać w kompetentne ręce uczelnianych socjologów. Zasięganie języka u poszczególnych wypoczynkowych dało im bowiem całkiem rozbieżny obraz sytuacji panującej w jednym z najlepszych ich ośrodków, dokładnie w tym samym czasie. W ten sposób chcą więc uzyskać mniej więcej wiarygodną opinię.

Na 360 emerytowanych pracowników uczelni do ZNP należy 182. Jest to grupa wyjątkowo aktywna. Mają pełne rozeznanie w sytuacji życiowej nie tylko swych członków. Potrafiliby dotrzeć do dzielnicowych zespołów opieki zdrowotnej, współdziałać z PKPS, organizują doraźną pomoc dla wszystkich potrzebujących. Podobnie jak wszędzie i tu problemów w środowisku kolegów emerytowanych nie brakuje. Podstawowy oczywiście, dotyczy bytu. Spora grupa spośród nich ma bardzo niski wymiar emerytury. Okazjonalnie zapomogi bezzwrotne załatwiają sprawę tylko częściowo.

Ze spraw dorobniejszych do załatwienia: w radzie zakładowej myślą nad atrakcyjniejszymi formami rozpropagowania własnej działalności. Trochę tu liczą na pomoc Krajowej Rady Nauki. Pisanie komunikatów na maszynie i wywieszanie ich w gablocie nie chwytają. Jest mało czytelne. Nie rzuca się w oczy. A oni chcieliby trafić do ludzi.

W Politechnice Związek mimo wszystkich trudności dopracował się już tego, że społeczność uczelniana zaakceptowała fakt jego istnienia. Atmosfera w środowisku wokół Związku jest jakby zdrowsza. Rządziej dziś, niż w pierwszym okresie działalności, spotykają się z uszczypliwością, złośliwymi podjazdami. Wręcz przeciwnie, do ZNP zwracają się w różnych życiowych sprawach także ludzie niezrzeszeni. Nikomu pomocy się nie odmawia. Powoli, acz systematycznie rosną związkowe szeregi. W tej chwili na ponad 2000 zatrudnionych do ZNP należy około 600 osób, w tym dwóch profesorów i dwudziestu pięciu docentów, sześćdziesięciu dwóch adiunktów, czterdziestu asystentów i starszych asystentów; pozostali to pracownicy obsługi uczelni oraz koledzy emeryto-

wani. Pewnym dysonansem jest może to, że do ZNP nie należy, jak dotychczas żaden z jego byłych prezesów. Ale to już ich prywatna sprawa.

★

Dzisiejsza kondycja Związku w Politechnice jest wypadkową wielu czynników, zależnych od działaczy tej organizacji, ale także pozostających poza ich wpływem. W swoim planie działania poza zwykłą związkową codziennością, czyli zala-

twaniem bytowych problemów pracowników — tu dodajmy, także tych niezrzeszonych — mają kilka ambitnych punktów. Choćby właśnie aktywne włączenie się w realizację programu rozwoju uczelni, pomoc w rozwiązywaniu problemu adiunktów. Znowelizowana ustawa o szkolnictwie wyższym daje związkom niebagatelne uprawnienia. Już samo to może poprawić nastrój. Czy będą umieli z tej szansy skorzystać, czas pokaże.

HALINA DRACHAL



Fot. M. Suchecki

BY STUDENT KOCHAŁ PICASSA

Słyszysz się powszechnie, że edukacja kulturalna studentów pozostawia bardzo wiele do życzenia, że wyższe uczelnie nie realizują nawet najskromniejszego wychowania estetycznego. I jakkolwiek opinia ta jest zbyt niesprawiedliwa — przynajmniej w odniesieniu do niektórych uczelni — to przecież nie da się ukryć, iż w wychowaniu w ogóle, a kulturalnym w szczególności, nie jest w szkolnictwie wyższym dobrze. Nawet słuchacze większości kierunków humanistycznych nie mają zbyt wielu okazji do pogłębiania wiedzy dotyczącej różnych dziedzin sztuki i rozwijania swych zainteresowań kulturalnych. Opowiadano mi niedawno, że student pedagogiki nie odróżnił Fryderyka Schillera od Leona Schillera.

Tym bardziej więc zasługują na uwagę wszelkie inicjatywy nie godzące się z takim stanem rzeczy i usiłujące go zmienić. Szczególnie wartościową inicjatywę podjął Komitet Nauk Pedagogicznych Polskiej Akademii Nauk, konkretnie zaś jego Zespół Wychowania Estetycznego. Otóż od dwu lat organizuje on dla nauczycieli akademickich prowadzących edukację humanistyczną przez sztukę, w różnych uczelniach i instytucjach, konferencje szkoleniowe (lub, jak inni wolą, kursy) poświęcone zagadnieniom wychowania kulturalnego. Konferencje służące wymianie doświadczeń, wzbogacające wiedzę teoretyczną i praktyczne umiejętności z tego zakresu.

Owe konferencje pomyślane są jako szkoleniowo-dyskusyjne spotkania w gronie osób zajmujących się problematyką sztuki na różnych uczelniach: uniwersytetach, uczelniach artystycznych, w wyższych szkołach pedagogicznych, instytucjach kształcenia i doskonalenia nauczycieli.

W wakacyjnych spotkaniach w Jabłonie — bo tu właśnie, w siedzibie PAN, się odbywają — uczestniczą nauczyciele akademicy z filii cieszyńskiej Uniwersytetu Śląskiego i Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Gdańsku, Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Kielcach, i Uniwersytetu im. M. Curie-Skłodowskiej

w Lublinie, Wyższej Szkoły Pedagogiki Specjalnej i warszawskiej Akademii Muzycznej. Są wśród nich poloniści i muzycy, pedagodzy i plastycy, przedstawiciele innych specjalności. Łączy ich wspólna troska o edukację estetyczną przyszłych nauczycieli, prawników, inżynierów, przekonanie, iż nie należy szepścić wysiłków, by kontakty młodzieży studenckiej ze sztuką były jak najczęstsze, by edukacja humanistyczna w różnych uczelniach była realizowana na miarę potrzeb dzisiejszych czasów i współczesnego człowieka.

Taka właśnie idea i taki cel towarzyszy spotkaniom w Jabłonie. Obok problemów ogólnych dotyczących sztuki i edukacji humanistycznej, realizowany jest na nich program takich przedmiotów, jak teoria wychowania estetycznego, wiedza o sztuce, estetyka czy też innych, blisko z nią spokrewnionych. Jeśli zaś chodzi o zajęcia kierunkowe, wprowadzają one zwłaszcza w problematykę muzyki i plastyki.

Na przykład program pierwszej wakacyjnej konferencji szkoleniowej, która odbywała się w 1983 r., obejmował wykłady i seminaria na temat pedagogicznych aspektów estetyki, teorii wychowania estetycznego oraz pedagogicznych zagadnień sztuk plastycznych i muzyki, zaś tegoroczne, trzecie już spotkanie, poświęcone było teorii i praktyce kształcenia kulturalnego w PRL, a między innymi omówieniu opracowanych w ubiegłym roku licznych ekspertyz dotyczących wychowania estetycznego i uczestnictwa w kulturze młodego pokolenia, koncepcji programowych, edukacji kulturalnej w szkole i poza nią oraz szczególnej roli uczelni wyższych w tej właśnie dziedzinie.

Gros wykładów i seminariów — a były wśród nich tak atrakcyjne, jak np. prowadzone przez panią Halinę Machulską z Teatru Ochoty zajęcia z dramy — budzą duże zainteresowanie. Niemala w tym zaśługa organizatorów kursu — członków Pracowni Wychowania Estetycznego w Uniwersytecie Warszawskim (działającej także jako wspomniany już odrębny zespół w ramach Komitetu Nauk Pedagogicznych PAN), przede wszystkim zaś, kierownika naukowego spotkań w Jabłonie, prof. Ireny Wojnar, najwybitniejszego u nas specjalisty w dziedzinie wychowania przez sztukę. No i naturalnie, wykładowców, wśród których znajdują się tacy specjaliści z różnych uczelni i o-

środków naukowych kraju, jak prof. Maria Golaszewska z Uniwersytetu Jagiellońskiego, doc. Henryk Depta z Uniwersytetu Warszawskiego czy doc. Stefan Kościelecki z Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu.

Oddajmy jednak głos uczestnikom owej konferencji szkoleniowej (oczywiście, nieprzypadkowo prosiłam o wypowiedzi przede wszystkim tych, którzy pracują w uczelniach pedagogicznych).

Dr Barbara Kubicka-Czekaj z WSP w Częstochowie, prowadząca zajęcia z dydaktyki jęz. polskiego: — Jestem tu już po raz trzeci, Jabłonia to dla mnie działanie energotwórcze, ładowanie akumulatora, zastatek działający przez cały rok. To także potwierdzenie słuszności tego, co robię na uczelni, jest to dla mnie szczególnie ważne, bowiem każdy nauczyciel akademicki pracuje właściwie sam. W Jabłonie, poza zajęciami o charakterze doskonalenia profesjonalnego prowadzonymi w formie „universitas”, cenię kontakty nieformalne, niezwykłą atmosferę — atmosferę troski o to, by nauka, sztuka, szkoła — służyły jak najlepiej inspirowaniu twórczych działań człowieka. Atmosferę, której sprzyja otoczenie zewnętrzne: przepiękny park. Pomaga mi to realizować na co dzień zasadę chronienia i rozwijania w człowieku „piękna co w nas śni tajemne”, jak mówił Staff.

Dr Sylwester Matczak z WSP w Bydgoszczy, pedagog i muzyk prowadzący zajęcia z dyrygowania, wicedyrektor Instytutu Wychowania Muzycznego: — Szczególną wartość ma dla mnie to, że mogłem się spotkać z kolegami z całej Polski, że mieliśmy możliwość wymiany poglądów i doświadczeń. Rozeznałem się też w aktualnym stanie wychowania estetycznego. Prezentowane tu ekspertyzy dotyczące edukacji kulturalnej dały mi — a pracuję przecież z przyszłymi nauczycielami — wiele do myślenia. Pobyt ten będzie też owocował w mojej pracy habilitacyjnej, która dotyczy dydaktyczno-wychowawczych funkcji muzyki w szkole zawodowej; jestem więcej rad, że nawiązałem tu kontakt z doc. Marią Przychodzińską, zajmującą się właśnie wychowaniem muzycznym.

Dr Szczepan Kutrowski z WSP im. Jana Kochanowskiego w Kielcach, pedagog prowadzący zajęcia z teoretycznych podstaw pracy kulturalno-oświatowej: — Co mi dał

udział w tej konferencji? Bardzo wiele. Powiem bez fałszywej skromności, że po tym spotkaniu mogę wnieść do grona kolegów z Zakładu Pedagogiki Pracy Kulturalno-Oświatowej oraz współpracujących z naszym zakładem — wizję integracji naszych działań. Co w tej wizji będzie? Przede wszystkim ostrzejsze uświadomienie poczucie działania dla wspomaganie „humanistycznej tkanki świata”. Pracownik wyższej oświaty nie może zamykać oczu na to wszystko, co dzieje się w procesie edukacyjnym. Można być zwolennikiem różnych koncepcji wychowawczych, ale jedno zobowiązuje wszystkich pracowników „frontu” humanistycznego, wspieranie i integracja w edukacji, wychodzenie naprzeciw działaniom innych nauczycieli, instruktorów, artystów etc. oraz docenianie tego wszystkiego, co składa się na aktywność wychowawczą i uczestnika działań edukacyjnych. Tymczasem szkoły wyższe ciągle nie doceniają szansa zintegrowania działań samych nauczycieli i samych wychowanków. A przecież wiele jest już w znacznym stopniu zintegrowanych, scalonych przedsięwzięć w edukacji muzycznej, plastycznej, literackiej, filmowej, innej. Niestety, nie o wszystkich inicjatywach i trudnościach wie się na co dzień. A trzeba wiedzieć, aby lepiej, skutecznie pracować i wzbudzać określone zainteresowania tak, by nie kończyły się one z chwilą ukończenia przez młodych uczelnią. By w pełni docenić to, co jest wartościowe w pracy szkół w naszym kraju. Konferencja w Jabłonie dostarczyła mi właśnie takiej wiedzy.

★

Cytowane wypowiedzi ukazują nie tylko wielorakie pożytki, jakie wynoszą ze spotkań w Jabłonie ich uczestnicy ale dowodzą jednocześnie, jak bardzo są potrzebne różnorodne inicjatywy kierujące uwagę nauczycieli akademickich na problemy wychowawcze, zwłaszcza zaś na konieczność pogłębiania edukacji humanistycznej dzisiejszych studentów.

Niestety, konferencje organizowane od 1983 roku przez Komitet Nauk Pedagogicznych PAN, są przedsięwzięciem unikalnym. Nie musimy już chyba dodawać, iż nieprzypadkowo piszemy o tym właśnie teraz — w przededniu nowego roku akademickiego.

HENRYKA WITALEWSKA

● Plan pracy ZG ZNP w „Głosie” ● Opinia o regulacji plac ● Kształcenie i doskonalenie nauczycieli ● Nasza działalność w OPZZ ● Jesteśmy sobie nawzajem potrzebni

CZYTELNICZY PYTAJA KIEROWNICTWO ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZNP ODPOWIADA (część II)

● PYTANIE

— Jestem zdania, że w „Głosie Nauczycielskim” powinien być publikowany plan pracy ZG ZNP na dany rok szkolny. Plan taki jest publikowany, ale w materiałach wewnętrznych, które nie wszyscy nauczyciele czytają. Uważam więc za konieczne zapytać: jakie kierunki działalności będą dla Związku najważniejsze w latach 1985—1986? (Zbigniew Onysko — Cieszyn).

SEKRETARZ ZG ZNP — ZBIGNIEW CIERPKA:

— Jak wiadomo wszystkie nasze programy są publikowane. Zarówno w „Głosie Nauczycielskim”, jak i w naszych wewnętrznych wydawnictwach prasowych, biuletynach i „Kalendarzu Nauczycielskim”. Słowem — jeśli ktoś interesuje się szczegółowym planem naszej działalności, harmonogramem posiedzeń prezydium czy plenów, to taki harmonogram znajdzie. Nie ma w tym względzie żadnych tajemnic. Rzecz tylko w tym, ażeby te nasze materiały po prostu czytać, wywieszać na tablicach ogłoszeń w naszych lokalach związkowych, w pokojach nauczycielskich, mówić o nich na zebraniach. Często słyszymy, że o takiej czy innej sprawie nie informowaliśmy. Tymczasem informacje poszły w teren, tylko nikt się z nimi nie zapoznał.

● PYTANIE

— Jakie refleksje nasuwają się kierownictwu ZG ZNP po ostatniej regulacji plac nauczycieli i pracowników administracji i obsługi? (Joachim Figlewski — Szczecin).

PREZES ZG ZNP — KAZIMIERZ PIŁAT:

— Cieszy nas, jako związkowców, każda regulacja uposażeń pracowników oświaty i wychowania. Jak to już powiedziałem na łamach „Głosu Nauczycielskiego” — tym razem powód do zadowolenia jest większy, ponieważ od 1 września regulacja objęła wszystkie grupy pracownicze, a więc nie tylko pedagogów. Jest to zgodne z postulatami Związku, a szczególnie sekcji zrzeszającej nienauczycieli. Warto w tym miejscu podkreślić, że tegoroczna regulacja plac stanowi kolejny dowód konsekwentnej realizacji Karty Nauczyciela.

Uważam, że jak na obecne możliwości ekonomiczne państwa, w miarę korzystnie rozwiązano problemy placowe nauczycieli po 30 latach pracy. Jest to wyjście naprzeciw zgłaszanym przez nasz Związek postulatowi.

Trudno natomiast optymistycznie odnieść się do wzrostu uposażeń młodych nauczycieli — jest on zbyt mały. Sytuacja materialna młodych jest w dalszym ciągu niezwykle trudna, szczególnie tych, którzy nie mają, bo nie ma ich także szkoła, godzin ponadwymiarowych. Tam, gdzie te godziny są, również młodzi mogą egzystować lepiej.

Nie jesteśmy też w dalszym ciągu zadowoleni ze sposobu porównań przy naliczaniu średniej płacy nauczycielskiej. Mianowicie dlatego, że za podstawę do wyliczeń bierze się średnią uposażeń kadry inżynieryjno-technicznej — ale z roku ubiegłego. W ten sposób średnia płaca nauczycieli jest zaniżona w stosunku do pla-

cy kadry inżynieryjno-technicznej. Ten sposób porównań stawia środowisko oświatowe w sytuacji niekorzystnej. W tej sprawie Związek ma konkretne propozycje zmian, niestety, dotychczas nie uwzględniane. Będziemy zabiegać o zmianę przepisów regulujących zasady porównywania plac. Z uwagi na ściśle określoną pulę środków finansowych, jaką otrzymał resort na regulacje uposażeń, nie zostały spełnione postulaty Związku dotyczące dodatków za stopnie specjalizacji zawodowej. Nie podniesiono też tak wysoko, jak oczekiwaliśmy, dodatków funkcyjnych.

Jak już z tego wynika, pozostaje wciąż wiele problemów do dyskusji, którą będziemy prowadzili z odpowiednimi władzami w przyszłym roku szkolnym.

Na wstępie stwierdziłem, że cieszy nas każda regulacja plac środowiska oświatowego. Jednak jej zasady muszą być w dalszym ciągu doskonałe, tak, aby można było mówić o pełnej realizacji artykułu 31 Karty Nauczyciela.

WICEPREZES ZG ZNP — JAN ZACIURA:

— W przyszłym roku i te kwestie placowe będą wyglądały inaczej. Po prostu zasady regulacji będą musiały być z nami uzgadniane.

● PYTANIE

— Moim zdaniem, nie można rozwiązać potrzeb kadrowych oświaty w obecnej strukturze kształcenia uniwersyteckiego. Ta forma kształcenia ani w czasie, ani w treści, ani w motywach uczenia i sposobach kształtowania postaw nie jest przydatna. ZG ZNP wypracował wnioski w tej dziedzinie. Ponoć resort oświaty i szkolnictwa wyższego powołał komisję do zbierania tych wniosków i wprowadzenia ich w życie, ale co dalej się w tej materii dzieje, jest osnute tajemnicą. Myślę, że resort oświaty powinien również dla różnego rodzaju szkół kształcących nauczycieli dla przedszkoli i nauczania początkowego przyjąć jednolitą nazwę — liceum pedagogiczne. Wróciłoby się choć w nazwie do dobrych tradycji kształcenia kadr. (Leon Filipecki — Rzeszów).

JAN ZACIURA:

— Nie możemy podzielić opinii Czytelniczki w tej kwestii. Po prostu, większość postulatów w zakresie kształcenia, doskonalenia i doskonalenia nauczycieli zgłaszanych przez Związek zostało zrealizowanych, bądź są w trakcie realizacji. Tak jest na studiach wyższych, gdzie uległy zmianie programy kształcenia, zwiększona została liczba godzin na przedmioty pedagogiczne, są realizowane postulaty w zakresie kształcenia w drugiej specjalności. Został też pomyślnie uregulowany problem drożności studiów w Studium Wychowania Przedszkolnego i Studium Nauczania Początkowego, Studium Wychowania Fizycznego.

Czy wrócić do nazwy liceum pedagogiczne? Rozumiem te sentymenty, ale dziś Studium Nauczania Początkowego czy Studium Nauczania Przedszkolnego to są już szkoły półwyższe, kształcą nie na poziomie średnim, ale właśnie półwyższym. Więc i nazwa liceum byłaby nieadekwatna.

KAZIMIERZ PIŁAT:

— To dwuletnie, pomaturalne studium rozwiązuje nam w znacznej mierze problem kadrowy. Tych szkół jest już ponad 90 i ich absolwenci podejmują pracę przede wszystkim w szkolnictwie. W tym roku w wielu kuratoriach nie przyjmowano już osób bez kwalifikacji. Cieszymy się z tego powodu. Jak również z faktu, że rozstrzygnięcia w zakresie kształcenia, doskonalenia i doskonalenia nauczycieli idą po naszej związkowej myśli. I to jest ważne, bo widać, jak bardzo nasz związkowy głos się liczy.

● PYTANIE

— Jak wygląda w tej chwili nasza współpraca z OPZZ? Do jakich inicjatyw się włączamy, co popieramy, jakie kwestie wspólnie rozważujemy? (Roman Wleczorek — Wąbrzeźno).

ZBIGNIEW CIERPKA:

— Można na ten temat mówić bardzo długo. Pragnę jednak na wstępie podkreślić, że zarówno ZNP, jak i OPZZ, są sobie nawzajem bardzo potrzebne. Przecież OPZZ podejmuje w tej chwili najważniejsze i najistotniejsze problemy ludzi pracy. To OPZZ zwalcza konsekwentnie i uparcie wynaturzenia biurokracji oraz niesprawiedliwość społeczną. Dba o sprawiedliwy podział dóbr, równość wszystkich obywateli w obliczu prawa, o właściwe warunki startu zawodowego młodego pokolenia i o bezpieczeństwo socjalne polskich rodzin. OPZZ działa na rzecz odpowiednio zorganizowanej roboty, wynagradzanej stosownie do wkładu pracy. Dąży do podpisania nowych zbiorowych układów pracy a także umów społecznych, które byłyby zawierane w zakładach pracy. Problemy bhp, budownictwa mieszkaniowego, wczasów, lecznictwa, sportu i turystyki to też coraz mocniejsze strony działalności OPZZ. Nie muszę chyba argumentować, iż w naszym programie te kwestie są w centrum zainteresowania.

A przechodząc konkretnie na nasze oświatowe podwórko, nie mogę choć nie wspomnieć o działalności OPZZ na rzecz oświaty — w tym oświaty robotniczej, na rzecz podnoszenia kwalifikacji zawodowych, umożliwiania studiów zaocznych zdolnym młodym robotnikom. OPZZ inicjuje działania na rzecz zakładowego budownictwa przedszkolnego. Przecież bez pomocy zakładów pracy nie będziemy w stanie wybudować iluś tam tysięcy przedszkoli do 1990 roku. To samo zresztą dotyczy budownictwa oświatowego. OPZZ mocno zaangażował się w obronie kart pracowniczych, w tym i Karty Nauczyciela. Nie ma zebrania, na którym nie podnoszone by kwestii rewaloryzacji rent i emerytur w tym tzw. starego portfela. Słowem, działamy wspólnie dla wspólnych celów, w pełni przestrzegając zasady samodzielnosci i samorządności w działaniu i podejmowaniu decyzji.

Pamiętam, kiedy podejmowaliśmy decyzję o przystąpieniu do OPZZ — niektórzy nasi działacze mieli wątpliwości: przede wszystkim obawiali się ewentualnego podporządkowania ZNP właśnie OPZZ, narzucania nam przez OPZZ różnych odgórnych decyzji, zaleceń itp. Nic takiego nie nastąpiło. I ten fakt jest najmowniejszym dowodem, że OPZZ nie miała ambicji podporządkowania sobie poszczególnych związków branżowych, nie dążyła do reaktywowania struktur dawnej CRZZ.

Dzięki OPZZ nawiązana została współpraca ze wszystkimi centralami związkowymi krajów socjalistycznych i szeregu krajów kapitalistycznych. Trwa wymiana związkowców, rozszerza się międzynarodowa wymiana wczasowa rodzin członków związków zawodowych i ich dzieci.

Nie muszę mówić, że i nasz Związek jest żywotnie zainteresowany rozwijaniem kontaktów międzynarodowych, służą one bowiem ludziom pracy.

OPZZ często wspomaga nas w naszych działaniach na rzecz środowiska oświatowego. W czasie rozmów na wysokim szczeblu, jakie prowadzą działacze OPZZ, często podnoszone są nasze ZNP-owskie problemy, szczególnie w zakresie budownictwa mieszkaniowego na wsi, rewaloryzacji rent i emerytur, plac itp. Słowem, jesteśmy sobie wzajemnie potrzebni jako równorzędni i równoprawni partnerzy.

Zapisał:
ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

LEKTURY

WYKŁADOWCA CZY NAUCZYCIEL?

Ze słowem nauczyciel kojarzy się zwykle szkoła, i to szkoła każdego szczebla, od podstawowej do wyższej... Z osobami pracującymi na kursach, w zakładowych systemach doskonalenia zawodowego, występującymi na konferencjach czy z odczytami publicznymi, zwykło się łączyć nazwy: „wykładowca”, „prelegent”, „instruktor” itp. Czy słusznie? Czy inżynierowie z przemysłu, ekonomiści, rolnicy, lekarze i inni specjaliści angażowani do prowadzenia zajęć z różnego rodzaju kursach, prowadzonych bądź przez zakład pracy, bądź przez organizację zawodową i społeczne lub też przez wyspecjalizowane instytucje, takie jak Związek Zakładów Doskonalenia Zawodowego, NOT, uniwersytety robotnicze — nie spełniają funkcji nauczycielskich?

Rozważania na ten temat zawarte są w książce wydanej w br. przez Wydawnictwo Spółdzielcze pt. „Praca dydaktyczno-wychowawcza nauczyciela w pozaszkolnym kształceniu dorosłych”. Autorem pracy jest prof. Stanisław Kaczor, dyrektor Instytutu Kształcenia Zawodowego.

Autor słusznie podkreśla, że kształcenie i doskonalenie zawodowe dorosłych jest integralną częścią całego systemu edukacji narodowej. W szkole zawodowej uczeń zdobywa podstawowe wiadomości i umie-

jętności, kształtuje cechy osobowości zgodne z oczekiwaniami społecznymi. Są to jednak tylko podstawowe, wyjściowe kwalifikacje umożliwiające mu dalszy rozwój i uzupełnienie kwalifikacji aż do mistrzostwa zawodowego włączenie. Potrzeby gospodarki i kultury narodowej wymagają bowiem ciągłego doskonalenia zawodowego, podnoszenia poziomu wiedzy i kwalifikacji. Współczesna pedagogika podkreśla konieczność stworzenia systemu edukacji permanentnej. Kształcenie dorosłych w różnych pozaszkolnych formach jest realizacją tej idei.

Autor udowadnia, że jest to również konieczne ze względu na sytuację, w jakiej znajduje się nasze państwo, ze względu na wprowadzaną reformę gospodarczą. W najbliższych latach nie będzie nadmiernego napływu młodych na rynek pracy, stąd też główne źródło rozwoju gospodarki i podnoszenie wydajności pracy, jakości osiąganych efektów tkwi w podnoszeniu kwalifikacji zawodowych i ideowo-moralnych pracowników. Pierwsze doświadczenia związane z reformą wykazują, że trzeba także przełamywać wiele wykształconych w ubiegłych latach nawyków i przyzwyczajzeń. Niezmiernie ważną sprawą w programowaniu pozaszkolnego kształcenia dorosłych jest uwzględnianie

treści służących wytworzeniu nawyków kulturalnego zachowania się i współzycia między ludźmi. Konieczne jest zwalczanie przejawów zachowań społecznie szkodliwych, takich jak alkoholizm czy narkomania.

Jednocześnie praca dydaktyczno-wychowawcza z dorosłymi winna prowadzić do wzbogacania życia pracowników, rozwoju ich zainteresowań, pogłębiania wiedzy, do uczestnictwa w kulturze. Wszystko to — jak i inne względy wypunktowane w omawianej pracy — dowodzi, że wykładowcy, prelegenci, instruktorzy wszystkich form w pozaszkolnym kształceniu dorosłych powinni stać się nauczycielami wykonującymi funkcje nie tylko dydaktyczne, lecz także wychowawcze.

Autor omawia: cele, potrzeby oraz możliwości kształcenia i doskonalenia dorosłych, treści, proces, zasady, metody i formy pracy dydaktyczno-wychowawczej, środki dydaktyczne w nauczaniu i wychowaniu, kontrolę i ocenę w kształceniu i doskonaleniu dorosłych.

Prawie połowę swej pracy poświęca St. Kaczor osobie nauczyciela. Czy istnieje specyfika pracy nauczyciela w formach pozaszkolnych? Na czym ona polega? „Nauczyciel niezależnie od tego, gdzie pracuje, z młodzieżą czy z osobami dorosłymi... wy-

stępuje zawsze w roli wychowawcy tych, którzy są mu oddani pod bardzo szeroko rozumianą opiekę”. Tę funkcję wychowawcy — wysuwa autor na pierwsze miejsce. Następnie omawia jego funkcje dydaktyczne.

Kończąc to krótkie omówienie pracy prof. St. Kaczora, zachęcamy do zapoznania się z jej treścią wszystkich nauczycieli oświaty dorosłych i propagowanie jej wśród licznych wykładowców, prelegentów i instruktorów nie będących w zawodzie nauczycielami. Przedstawione w pracy rozważania i propozycje winny przyczynić się do ulepszenia warsztatu pracy szerokiej rzeszy nauczycieli pozaszkolnej oświaty dorosłych.

Warto przy tym dodać, że w omawianej pracy zamieszczone jest zarządzenie ministra oświaty i wychowania z 27.06.1983 r. w sprawie organizacji kursów pedagogicznych — wraz z wytycznymi o ich organizacji — dla osób prowadzących szkolenie, doskonalenie, doskonalenie zawodowe lub inną działalność oświatową. Ukończenie takiego kursu daje przygotowanie do pracy w charakterze wykładowcy, instruktora i organizatora pozaszkolnych form kształcenia zawodowego oraz instruktora praktycznej nauki zawodu w zakładach pracy.

KAZIMIERZ WOJCIECHOWSKI

*) Stanisław Kaczor, Praca dydaktyczno-wychowawcza nauczyciela w pozaszkolnym kształceniu dorosłych. P-57. Wydawnictwo Spółdzielcze, Warszawa 1985, str. 218.



W Hamburgu byliśmy najdłużej

ROZMOWY O POLSCE

CD ZE STR. 1

— była wspólnym mianownikiem rozmów z nauczycielami hamburskimi, którzy słyną ze swych lewicowych poglądów. Słyszymy więc wszędzie — w siedzibie Towarzystwa Niemiecko-Polskiego, w gimnazjum na peryferiach miasta, w Instytucie Doskonalenia Nauczycieli, w krajowym urzędzie do spraw oświaty i na spotkaniu w Ratuszu, że problem granic nie istnieje jako problem sporu. Wszędzie przypomina się okropności spowodowane wojną i ogromne cierpienia, jakie dotknęły szczególnie naród Polski. Wszędzie pada to samo sformułowanie, które od lat głosi Willi Brandt, iż ziemia niemiecka nie powinna nigdy stać się zarzewiem nowej wojny.

Znana jest tutaj treść apelu Towarzystwa Niemiecko-Polskiego, w którym przed kilku laty wezwano do pokoju i porozumienia. Czytamy tam: „Właśnie ze względu na użytą przez nas przymoc, powinniśmy my, Niemcy, stać się na tyle silni moralnie, aby móc wkroczyć na drogę pojednania. Pokój z Polską potrzebny jest nam dla lepszego zrozumienia nas samych”. A w trakcie naszego pobytu przewodniczący Towarzystwa mówi: „I nam nie ułatwia pracy polityka, którą uprawia np. prasa. To że, że sami musimy się wciąż sprzeczać jaki powinien być nasz stosunek do Polski i Polaków”. Dziś częste są protesty, manifestacje przeciwko instalowaniu przez Amerykę nowego typu rakiet. Ale na coż zda się protest — skoro rząd federalny jest „za” i zgodę taką dał. Cóż z tego — mówi jeden z hamburskich nauczycieli — że zdecydowana większość społeczeństwa wypowiedziała się przeciwko instalowaniu rakiet — skoro rząd tego nie słucha. Jak widać — dodaje — i w naszej demokracji, szary obywatel niewiele ma do powiedzenia. Będący u władzy politycy robią swoje, wbrew protestom opinii publicznej.

Temat — wojny i pokoju, Polski i RFN, granic kwestionowanych często — wraca na spotkanie z kierownictwem Związku Nauczycieli Niemieckich (GEW) w Hamburgu. Wcześniej jednak dowiadujemy się, że w lokalu związkowym przed rokiem odbyło się spotkanie o charakterze neofaszyzmu.

Pytamy, jak to jest możliwe, aby b. naziści i neofaszyści pomyślnie egzystowali w RFN i mogli publicznie manifestować swoje poglądy? Stawiamy to pytanie kierownictwu związku, któremu pojęcie rewanżyzmu jest obce. Temat na czasie — obchodzimy przecież wszyscy rok zwycięstwa nad faszyzmem.

Reiner Griep — przewodniczący związku nauczycieli — wyjaśnia, że w Republice Federalnej istnieje zakaz manifestowania poglądów faszystowskich, zabrania się nosić emblematy, a pojęcie rewanżyzmu nie jest wcale powszechnie akceptowane. Surowo karze się b. nazistów i zwolenników, jeśli usiłują swoje idee manifestować.

Szczególnie w szkołach, w których obowiązują wychowanie w duchu antyfaszyzmu. Jeśli na przykład uczeń na lekcji przypnie swastykę, lekcja zostaje przerwana i przebiega pod hasłem skutków II wojny światowej. Oto inny przykład, jeszcze świeży: w jednej ze szkół oficerskich słuchacze śpiewali piosenkę faszystowską. Ci, którzy śpiewali, nie mogą zo-

stać oficerami — taki jest werdykt szkoły.

Czy to znaczy, że wszyscy nauczyciele wychowują zgodnie z tą zasadą, że sami prezentują właściwe postawy? Trudno na to jednoznacznie odpowiedzieć — mówi Reiner Griep — ale nasz związek stara się robić wszystko, aby tak właśnie było. W każdym razie członkowie związku mają statutowy obowiązek wychowywania młodzieży w duchu pokoju, pojednania między narodami, przyjaźni i współpracy. Istnieje zakaz zrzeszania nazistów w związkach zawodowych. Jeśli ktoś swoje przekonania manifestuje, jest ze związku usuwany. To wysoka kara, na szczęście, nie trzeba było jej stosować w kraju Hamburgu.

A jednak — mimo zakazów — na terenie RFN do spotkań neofaszyzmu i rewanżystów dochodzi wcale nie tak znowu rzadko. Spotkania są całkiem oficjalne i chętnie propagowane przez środki masowego przekazu. Mówimy o tym na każdym spotkaniu, dyskutujemy, spieramy się o racje.

Prawie wszędzie słyszymy: nie jest to takie proste. Byli członkowie SS działają metodą spotkań rodzinnych. Wynajmują lokale na rodzinną uroczystość i trudno rozszyfrować, jaki jest prawdziwy cel zgromadzenia. Dopiero w trakcie takiego spotkania okazuje się, że ma ono całkiem inny charakter. Jeśli się więc te zamiary wcześniej rozpozna — czyni się wszystko, aby do spotkania nie doszło, na przykład okupuje lokal. Przewodniczący Reiner Griep mówi, że właśnie przed kilkoma tygodniami obywateli turecy chcieli wynająć lokal związkowy pod pozorem rodzinnego spotkania, ale rozszyfrowano cel i zrzucywszy i do spotkania nie doszło.

Może by w tej sytuacji karać za skutki działań niezgodnych z przepisami i oficjalną polityką państwa? — podpowiadamy, tym razem podczas wizyty w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Przyjmuje nas zastępca dyrektora do spraw polityki z Europą wschodnią i południową, odpowiedzialny osobiście za politykę dotyczącą Polski. Tu prowadzimy ostry dialog, ponieważ nie zadowala nas, a często oburza, interpretacja wielu faktów i zjawisk.

Na wstępie prezentacja, której dokonuje sam dyrektor: pochodzi ze Szczecina, skąd wyjechał po wojnie. W latach 70-tych przebywał w Ambasadzie RFN w Warszawie, następnie — w USA. Domyślamy się, że rozumie po polsku, ale cały czas mówimy po niemiecku, oczywiście, za pośrednictwem tłumacza.

Nasz rozmówca prezentuje na początek zasady polityki wobec Polski. Mówi: Republika Federalna nie ma żadnych roszczeń wobec Polski i nie będzie ich miała w przyszłości. Z niemieckiej ziemi nie może wyjść wojna. W ostatniej wieloletniej wojnie ucierpiał, ale szczególnie naród polski. Wszystkim nam potrzebny jest pokój.

Ktoś pyta: Jak pogodzić te oficjalnie deklarowane kierunki polityki wobec Polski z faktem popierania przez rząd federalny roszczeń terytorialnych ziomkostw? Powołujemy się na świeży jeszcze w pamięci, bo czerwcowy zjazd Ślązaków, który zaszczylił swoją obecnością sam kan-

cler Helmut Kohl. Dzisiejsze deklaracje — mówimy — są tego zaprzeczeniem. To bardzo trudny problem — pada odpowiedź. — Również i u nas dyskutowano, czy kanclerz Kohl powinien brać udział w zjeździe Ślązaków, wielu było przeciw. Ale stało się inaczej.

Nasz rozmówca tłumaczy tę przyjaźń z ziomkostwami chęcią przypodobania się potencjalnym wyborcom. A rząd ma tylko 4-letnią kadencję i liczy się z tym, że stanie przed wyborcami. Każda partia walczy o władzę różnymi sposobami, stara się pozyskać swoich członków.

Ripostujemy, że nie za taką cenę, jak w tym przypadku. Bo sprzyjanie rewanżystom jest równoznaczne z deptaniem układu z Polską. Tolerancja dla spotkań i zjazdów, programów, których myślą przewodnią jest powtarzane hasło: „Nigdy nie wyrzekniemy się Śląska” — szkodzi stosunkom nie tylko naszych krajów, ale całej Europy.

Zwłaszcza że rewanżystowskie poglądy głoszą także politycy. Znana jest rewizjonistyczna wypowiedź F. J. Straussa — premiera Bawarii i przewodniczącego CSU. Kwestia niemiecka — powiedział on — pozostaje wciąż otwarta, aż do zawarcia traktatu pokojowego ze zjednoczonymi Niemcami. Układy wschodnie są układami o uznaniu granic i w niczym nie zmieniają prawnym międzynarodowej sytuacji Niemiec.

Słowa o granicach i zjednoczeniu Niemiec padają też w rozmowie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nasz rozmówca zastrzega, że zjednoczenie to jeszcze bardzo daleka przyszłość, ale dodaje, że tak, jak jest, być nie może, ponieważ nie do wyobrażenia jest granica dzieląca oba kraje niemieckie.

Dodajmy, że pokój, stabilizacja, poszanowanie pokojowych ustaleń, także układu z 1972 roku, konieczne jest już teraz. Tymczasem — choć padają piękne deklaracje o granicach — uczy się dzieci (poza Bremą i Hamburgiem, gdzie rządzą socjaldemokraci) na mapach z 1937 roku i wmawia, że Niemcy sięgają prawie do Wistły.

Toteż trudno nam zrozumieć i naszego rozmówcę, który po deklaracjach o poszanowaniu układów stwierdza, że warunkiem zawarcia traktatu pokojowego z Polską, który i te sporne kwestie podręcznikowe rozstrzygnie, jest zjednoczenie Niemiec. Odrzucamy ten punkt widzenia.

Po tym spotkaniu ktoś zirytowany stwierdza: „I oto mamy nowe warunki! I znowu usiłuje się nam je stawiać, jak przed 46 laty. Nie wypowiadamy tej myśli publicznie, być może jest zbyt surowa?”

może my jesteśmy przewrażliwieni? A wszędzie ta Polska, wszędzie ta mentalność prosto znad Wisły, trochę sentymentalne. Ale nie!

Zauroczeni cackiem gotyckiej architektury — sławną kolońską katedrą (która, podobnie jak zabytki Krakowa zaczyna się sypać pod naporem chemii), odprężeni od politycznych rozmów, trochę „na luzie” wchodzimy do środka. Jest dzień zwiedzania, boła nogi, ale nikt nie narzeka, bo roi się od cudów architektury — tej starej, i tej na wskroś nowoczesnej (np. Stadion Olimpijski w Monachium, też niszczący, bo piękna konstrukcja dachowa z plastiku okazała się krucha i krótkotrwała). Więc w ciszy przekraczamy progi katedry kolońskiej i miast zachwycać się wnętrzem... nowy szok! Tuż przy wejściu, na środku katedry, niewielka, ale widocznaurna (sporo ich w kościołach), a nad nią napis: „dary dla głodujących Polaków”. Dyżurujący w tym dniu w katedrze obywatel miasta patrzy na nas ze zdziwieniem, najpierw dlatego, że nie rozumie, jak nam się udało legalnie tu przyjechać. On myślał, że w przypadku Polaków w grę wchodzi tylko ucieczka. A następnie dziwi go, żeśmy tak dobrze odziani. Ktoś z nas pyta: niech pan na nas spojrzysz i powie, czy my wyglądamy na głodujących? Uśmiecha się przyjaźnie, tłumaczy, że nie warto się tym przejmować, to drobiazg te urny i wywieszki. Ale my się jejemy. Pytamy: dlaczego pozwala się takie żalonne pomysły eksponować w miejscu religijnego kultu? Na to nasz rozmówca: wierni przynieśli te skrzynki w dobrej wierze i nie sposób było im odmówić ustawienia jej tutaj. Jest to przecież akt dobroczynny.

Nie usunie się skrzynki z katedry, a napis będą jeszcze długo czytać turyści z różnych krajów świata. Bulwersuje nas to do tego stopnia, że nie potrafimy cieszyć się zwiedzaniem zabytków Kolonii.

A rażą — rozmowy o paczkach. Szeroko mówił o tym dyrektor na spotkaniu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Że paczki żywnościowe i te inne — to odruch serca, zrozumienia trudności Polaków, to chęć pomocy najuboższym w czasie kryzysu. Ludzie — słyszymy — nie kierowali się polityką, tylko odruchowo stali paczki, aby pomóc w biedzie. Rząd niczego tu nie narzucał, nie organizował, nie musiał zachęcać. Niemcy wiedzą, co to niedostatek i dlatego tak reagują, pomagają biednym.

Nie ukrywamy swego oburzenia, co dziwi trochę naszego rozmówcę, nie tego chyba oczekiwał. Podkreślamy na odchodnym, że ten akt „dobrej woli” jest dla nas upokarzający.

Mit o głodzie w Polsce ciągle jest żywy, zwłaszcza w Bawarii. Wielu obywateli tego kraju (a może większość?) nie ma pojęcia, jak naprawdę jest w Polsce, jak się u nas ludziom żyje. Powiedzą mi, i dziwią się, że udało nam się przyjechać do Monachium legalnie, że wszyscy mamy zamiar wrócić. Nie dowierzają, kiedy mówimy, że mamy co jeść, że głodu nie było i nie ma. To propaganda — mówią. Wy tak musicie mówić.

Przypadkowi przechodnie zatrzymują się, by przeczytać napis na autokarze. Czy to możliwe, wy z Polski? Sa wśród tych ciekawych i Polacy. Starsi, zasiedzieli już, i młodzi, ci z lat 80-tych. Wszyscy bez wyjątku chętnie nawiązują rozmowę, opowiadają co robią. Żyje im się różnie, na ogół nieźle, jeśli pracują.

Jedna z pań przywędrowała do Monachium z Wiednia, sprzedaje w kiosku frytki. Czy chciałaby wrócić do kraju? Odpowiada: to niemożliwe, za późno. I nie żałuje. Natomiast spotkanym w małym miasteczku, w restauracji młody Polak, od roku pracuje jako kelner — mówi o Polsce tak, że czujemy jego skurcz w gardle. Mówi, że popełnił błąd wyjeżdżając, teraz wie to i chciałby wrócić, choćby dziś. Ale — formalnie to niemożliwe, tak sam twierdzi. Właściciel restauracji to także młody Polak, już, niestety, nie dość poprawnie władający ojczystym językiem, choć jest tu od kilku zaledwie lat. Takim, jak on, prowadzi się dobrze — a warunek to małżeństwo, ułatwiające start, nie mówiąc o innych materialnych dogodnościach jak mieszkanie, podstawowy problem wszystkich emigrantów. W sklepie w Hamburgu spotykamy dziewczynę biegnącą co tchu w piersiach za ladą. Przyszło akurat sporo klientów, no i prawie cała nasza grupa. W sklepie mówi się po polsku, a handluje nie po hambursku, czyli nieuprzejmie. Właściciel, polski Żyd, zadowolony, każdy kupił jakiś drobiazg. A kiedy wchodzimy, mówi: proszę państwa, jak sklep sklepem nigdy jeszcze nie widziałem tak elegancko ubranych polskich turystów. Tu przychodzą biedni, poszukujący pracy...

— Rozumiemy, że pomaga im pan w jej zdobyciu?

— Gdzież tam, pani — mówi właściciel — przychodzi taki i stawia warunki: on chce to, a nie tamto, bo tamto brudzi ręce i ciężko. Jednego skierowałem do znajomych. Zaczął od pytania, ile będzie zarabiał. A gdy dowiedział się, co ma robić, kręcił nosem. Został na jeden dzień. W drugim zreiterował, a mnie się zwierzył, że woli głodować, niż pracować ciężko 7 godzin.

W naszej obecności dostało się dziewczynie za ladą. Pierwsze głośnie uwagi, pełne wyrzutów, zarzutów, a następnie ostrzeżenie: jeśli będziesz się gadać, to ja ci pokażę... A dziewczyna o wystraszonej twarzy na to: tak, proszę pana, tak, proszę pana, przepaszam, proszę pana... W warszawskim sklepie nie przyszłoby jej to do głowy, trzasnęłaby ciężkim przedmiotem o ladę i uciekła na zaplecze. Ale tutaj Zachód, tu co innego...

Miłe, niezapomniane wrażenia z tej podróży to przede wszystkim serdeczny stosunek do nas różnych ludzi. Tych, z którymi się spotykamy oficjalnie i tych, z którymi zetknęliśmy się przypadkowo. Piosenki w wykonaniu rozpieszczonej grupy polskich pedagogów podobały się wszędzie, brawom nie było końca. W Ośrodku Wczasów Dziecięcych był to już prawdziwy koncert — raz my z melodią „Morze, nasze morze”, raz nauczyciele niemieccy, i znowu my — z zaimprovizowaną przez dwóch muzykantów kolegów piosenką z repertuaru ulicznej, warszawskiej kapeli. W słynnym monachijskim browarze „Hofbraunhaus”, gdzie spożyliśmy kolację, śpiewa z nami cała sala, przyłącza się orkiestra — humor udziela się wszystkim. A japońscy turyści robia nam zdjęcia, gratulują pięknego — ich zdaniem — wykonania „Kukułeczki” i podziwiają naszą bezpośredniość, radość, poczucie humoru. Wszędzie gdzie śpiewamy mniej niż tu, ot, aby zaledwie nie przeszkadzać innym konsumentom, podchodzi kelner lub właściciel i uprzejmie prosi o jeszcze jedną piosenkę. Nasz śpiew nie razi nikogo, przeciwnie, wzbudza aplauz. I czasem ktoś zapyta: skąd tyle u państwa radości życia?

Tylko w Hamburgu takie pytania nie padają. Słynie on z tolerancji dla wszystkiego, co odmienne, zaś Polaków traktuje się tu nader sympatycznie. W szkołach, w Towarzystwie Niemiecko-Polskim, w hamburskim Ratuszu, wreszcie — w Ambasadzie Hamburga w Bonn, przyjmowani jesteśmy po królewsku, nadzwyczaj serdecznie. A już nasi opiekunowie — Wolfgang Neckel, Helga i Harii Rusch — to jakby cząstka naszej grupy. Wszyscy są, rzecz można, zakochani w Polsce, chwają to, czego my często nie zauważamy. To oni, doceniający potrzebę bezpośrednich kontaktów między pedagogami naszych krajów, są od dwudziestu lat motorem tej wymiany grup ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego. I bardzo pragną, podobnie jak spotykani przez nas nauczyciele hamburscy, jeszcze raz odwiedzić Polskę, poznać ją bliżej, lepiej rozumieć nasz kraj i Polaków.

MARIA RYBARCZYK

PS. O szkolnictwie w RFN w jednym z najbliższych numerów.

JAK ZJEDNAĆ RODZICÓW I ŚRODOWISKO

Dopóki poruszamy się w sferze najożeń o potrzebie pedagogizacji rodziców i w kręgu postulatów o konieczności ściślej z nimi współpracy — wszystko jest słuszne i oczywiste. Wystarczy jednak założenia, postulaty i programy wychowawcze zacząć wcielać w życie, aby się przekonać, na jakie trudności natrafiają nauczyciele-wychowawcy. Trudności dwójakiej natury: merytorycznej i formalnej. Przez trudność natury merytorycznej rozumiem między innymi rozmiękanie się ideałów proponowanych przez szkołę z pragmatycznym myśleniem dużej części rodziców. To oni wyciągają pochopne wnioski — z rzeczywistości znanej im z autopsji — o małym lub żadnym wpływie wykształcenia na płace i poziom materialny, na status zawodowy i społeczny jednostki.

Zainteresowani pomyślnością własnych dzieci, nie wierzą, aby im się lepiej działo, jeśli przejmą od wychowawców proponowany wręcz sądzą, że ukształtowanie trwałych zasad moralnych może stanowić istotną przeszkodę w karierze zawodowej czy życiowej ich pociech. Myślą tak nie bez przyczyny: bywają wszakże świadkami powodzenia materialnego ludzi sprytnych, wykorzystujących braki rynkowe, żerujących na kryzysie, pazernych, omijających przepisy prawne. Tego typu doświadczenia każą im wątpić w zwyczajną uczciwość, w honorowanie pracowitości, w uznanie dla zachowanej w każdym czasie i w każdych okolicznościach — godności osobistej.

Pomijanie tych wszystkich niekorzystnych uwarunkowań nie byłoby niczym innym jak bagatelizowaniem stanu świadomości pewnej części społeczeństwa, jak ucieczką przed gorzką wiedzą o postawach dorosłych, wywierających znaczący wpływ na świadomość moralną dzieci i młodzieży.

Przymykanie oczu na konsumpcyjną i dalece egoistyczną mentalność wielu rodziców, na rozluźnienie pojęć etycznych w rodzinie, na rozrzedzenie w społeczeństwie zasad uczciwości, na rzekomą archaiczność takich cech jak prawda, rzetelność, honor — wyobcuje działania wychowawcy, a ze szkoły uczyni utopijną wyspę.

Lepiej więc uzmysłowić sobie w całej rozciągłości wszystkie niesprzyjające wychowaniu okoliczności (niż ich nie dostrzegać lub świadomie ukrywać), dokonać gruntownego rozpoznania środowiska, w którym żyją i kształtują własny pogląd na świat uczniowie, aby podejmowane inicjatywy były trafne, adekwatne do potrzeb i miały szansę powodzenia.

Młodzi nauczyciele na ogólnopolskim spotkaniu zorganizowanym przez ZG Związku Nauczycielstwa Polskiego (listopad 1984) pytali wprost: Jak zjednać nastawionych konsumpcyjnie rodziców dla ideałów postulowanych przez szkołę? Jak przekonać ich o wartości nauki, w której opłacalność sami nie wierzą? Jak uczynić z nich partnerów w wychowaniu sumienia, uczciwego, pracowitego człowieka, kiedy oni sami bywają zaprzeczeniem tych cech osobowości? Jak wpajać, często niewygodne środowisku wartości, takie jak dobro ogólne, prawda, sprawiedliwość, solidarność, poświęcenie?

Te pytania, jak wszystkie najprostsze i podstawowe, następczą największe trudności, a odpowiedź na nie jest skomplikowana.

Można występować z wartościową ofertą wychowawczą wbrew rodzicom i środowisku, licząc na pewną szansę powodzenia, na podobieństwo dziecka odrzucającego pi-jacki model rodziny na rzecz zupełnie innego — spokojnego i harmonijnego życia. Bazując na różnicach pokoleniowych, na dezaprobacie dzieci wobec skrajnie negatywnych zachowań środowiska — można również osiągać pozytywne wyniki. Potrzebne do tego nie makazy i zakazy, kaznodziejski ton, ale poważny autorytet moralny nauczyciela, który sposobem życia dawałby gwarancję trafności obranego wzorca, dystansującego postawy najbliższego otoczenia.

Pamiętając jednak o tym, że dziecko gros czasu przebywa w domu, że jego wrażliwość etyczna jest kształtowana przez

to, co widzi, słyszy, w czym uczestniczy — trzeba dom przybliżyć szkole, a szkołę domowi. Jak tego dokonać, mimo tylu zauważonych wcześniej rozbieżności?

Spróbujcie Państwo na rodzicielski pragmatyzm odpowiedzieć równie praktycznie, uzmysławiając, że skuteczne działania wychowawcze szkoły zaowocują najpierw w rodzinie. Ojciec i matka podejmą współpracę, ponieważ chcą mieć dobre dzieci, wykazujące szacunek, wdzięczność i zapewniające troskę na czas choroby i starości.

Nauczyciel, dzięki odpowiednim argumentom, powinien ich przekonać o tym, że wrażliwość, dobroć, otwarcie na drugiego człowieka, gotowość udzielenia pomocy — trzeba kształtować znacznie wcześniej, utrwalając je w codziennych zachowaniach. Jeżeli się tego nie zrobi na czas, dzieci będą egoistami, ludźmi obojętnymi na los własnych rodziców, a także własnej rodziny, jaką założą. Poczucie obowiązku, branie na siebie odpowiedzialności za los drugiego człowieka, chęć niesienia pomocy — to cechy osobowościowe. Jeżeli ich nie będzie w ogóle, nie będzie również dla najbliższych.

Rodzicom warto także uprzytomnić, iż kanon wartości proponowanych przez szkołę chroni ich dzieci teraz i na przyszłość przed wchodzeniem w kolizję z prawem, przed alkoholizmem i narkomania. W ich interesie leży współdziałanie ze szkołą na rzecz wychowania człowieka porządnego, a więc takiego, który nie trafi do więzienia, nie przepije zarobionych pieniędzy, nie będzie wyniszczał własnego organizmu. Wiadomo, że nikt z rodziców nie chciałby widzieć swojego dziecka, bez względu na jego wiek, na ławie oskarżonych, w stanie pijackiego bełkotu, wyniszczzonego przez narkotyki. Dlatego na spotkaniach z rodzicami trzeba ukazywać zespół środków, które będą temu zapobiegać, które mogą zadecydować o przyszłej drodze życia ich dzieci. Trzeba mozołnie wyjaśniać, jakie zainteresowania, i po co, rozbudza nauczyciel, jakie perspektywy godnego życia rozwija przed dzieckiem, jakie wartości preferuje i czego się spodziewa po takich preferencjach.

Powszedniemu pragmatyzmowi trzeba u-mieć przeciwstawić wartości wyższe, dzięki którym dziecko będzie realizować własne człowieczeństwo, będzie wpływać na technikę lub kulturę społeczeństwa, ciesząc się szacunkiem i uznaniem. Zanim to nastąpi, potrzebna jest rozległa wiedza i silny charakter. One zdecydują o słusznych wyborach, o prawym postępowaniu.

Nie bez znaczenia może się okazać uzmysłowienie rodzicom faktu, iż zaniedbania wychowawcze nie tylko są w stanie skomplikować życie dzieciom, ale też zatrudzić ich — rodziców — starość, kiedy owe zaniedbania wrócą jako problemy trudne i nie do rozwiązania. Świadomość konsekwencji może zjednać rodziców dla szeregu poczynań wychowawczych.

Niektórzy wychowawcy, nie bez racji zresztą, twierdzą, że najpierw należałoby wychować rodziców, a dopiero później dzieci. Bo też żadna szkoła nie uczy, jak być dobrym (czytaj mądrym) ojcem i matką, a pisze się o tym znacznie mniej niż o karmieniu i ubieraniu dziecka. W tej sytuacji trzeba się zadwoić w wychowaniu równoległym: równoczesnym oddziaływaniem na dzieci i rodziców.

Aby rodzice byli w pełni świadomi własnej roli i przekonani o potrzebie współdziałania ze szkołą, należy im m. in. przybliżyć cele edukacyjne i wychowawcze oraz środki, jakimi dom i szkoła dysponują. Poza tym zapobiegać błędom wychowawczym, płynącym najczęściej z niewiedzy rodziców, zapobiegać błędem biorącym swój początek z rodzicielskiego zaabsorbowania materialną sferą życia, z pośpiechu, braku czasu na kontakt z dzieckiem, na rozmowę i przyjaźń.

Trzeba stworzyć taką sytuację, w której uda się wyrwać rodziców z codziennej krzątaniny, proponując głębszą refleksję nad własnym stosunkiem do dziecka i nad jego potrzebami emocjonalnymi oraz intelektualnymi. Pogadanka lekarza psychologa, wychowawcy na określony temat może być z pożytkiem poszerzona o filmy

krótkometrażowy, a nawet fabularny, dzięki któremu rodzice rozpoznają nieprawidłowe reakcje, inaczej spojrzą na swoje dziecko, a szczególnie na sferę jego potrzeb duchowych. Można w tym celu sięgnąć po filmy Janusza Nasfetera — twórcy kina rodzinnego, a więc takiego, które ma dwojaką widownię, gromadzi przed ekranami dzieci i dorosłych, dając im szansę lepszemu wzajemnego poznania i zrozumienia. Odkrywczość w sposobie patrzenia na dzieci i ich świat, poetycki charakter ujmowania dziecięcych przeżyć, szczególna opytka nie pozwalająca na łatwy, dydaktyczny optymizm, cechuje także filmy, jak „Weekend z dziewczyną”, „Abel twój brat”, „Ten okrutny, nikczemny chłopak”, „Motyle”, „Nie będę cię kochał”, „Królowa pszczoł” i in.

Filmy Janusza Nasfetera mogą okazać się wyjątkowo pomocne w pedagogizacji rodziców, ponieważ z jednej strony opierają się na drobnych realiach, na portretowaniu przypadków codziennych, powszechnych, a z drugiej — sprawą podstawową, niejako „wyściową”, czynią niewyczerpany świat przeżyć dziecięcych i pasowanie się z przeciwnościami. Dzięki temu rodzice mogą zrozumieć, jak ich dzieci (dla twórcy mali bohaterowie) przeżywają duże dramaty wynikające z braku uczucia lub jego nadmiaru, z odrzucenia przez grupę, z powodu pierwszej miłości itp. Rodzice rozumieją, że nie wolno nie dostrzegać, bagatelizować dramatów swoich dzieci, że trzeba starać się zrozumieć, pochylić nad nimi, a jeżeli to możliwe — oszczędzić dziecku dramatycznych przeżyć, szczególnie związanych z odrzuceniem przez najbliższych.

Przyjęcie perspektywy dziecka, głęboka wiedza o nim, o jego przeżyciach i duchowych potrzebach — wszystko to zapowocuje nie tylko w czasie okresowych spotkań z rodzicami, ale w kontaktach bezpośrednich, wręcz intymnych, kiedy oj-

mentu życia ludzkiego. Pracy podejmowanej nie jako ciężar, ale jako manifestowanie siebie przez to, co się czyni; pracy rozumianej jako pokonywanie przeszkód, jako realizację potrzeby wysiłku, dyscyplinowania, jako zmuszanie do posłuszeństwa własnej materii.

Poma prace, są też inne, równie ważne, potrzeby człowieka, takie jak potrzeba odprężenia, spokoju, ciszy, kontemplacji. W sferze tych potrzeb nieświ się refleksja nad sobą, rodzaj osobistej ekspresji, nieświ się marzenie i świat wyobraźni, którego dostarcza literatura i sztuka. Realizacja tych potrzeb to nic innego jak wypełnianie intymnego świata jednostki.

Bogdan Suchodolski zwraca uwagę na dwa style życia: dramatyczny i liryczny, bo w obu człowiek od wieków wyraża swe doświadczenie i swe potrzeby. „W greckich mitach — powiada Suchodolski — symbolizował je Prometeusz, który wbrew woli bogów ofiarował ludziom ogień, aby dysponowali światłem i żarą, to znaczy sztuką i techniką pozwalającą zapanować nad siłami przyrody, i Orfeusz, któremu natura i świat podziemny były posłuszne wedle praw miłości i muzyki. Prometejskie i orfejskie tradycje przetrwały aż do naszych dni i nie nie wskazują na to, aby miały wygasnąć”. („Labirynty współczesności”).

Nauczycielowi — wychowawcy przypada znaczny udział w rozwijaniu dwójakiego bogactwa ludzkiej istoty, we wskazywaniu dwóch dróg różnych i przeciwstawnych, ale w efekcie wzajemnie się dopełniających. Jedna droga — ta, którą Suchodolski nazywa dramatyczną — to nic innego jak uczestnictwo jednostki w życiu społecznym, w pracy, w wmaganiach, dokonywaniu wyboru; druga — liryczna prowadzi bardziej ku temu, jaki człowiek powinien „być”, a nie tylko „czynieć coś”. Dopełnienie człowieczeństwa dokonuje się bowiem dzięki przeżyciom lirycznym, w kontaktach



Fot. M. Mrozowski

ciec czy matka wyraził zdziwienie tak do-głębne i trafną znajomością córki lub syna.

Wizyta w domu rodzinnym ucznia, którą bardzo polecam, ma tę zaletę, że natychmiast orientuje w warunkach życia i możliwościach nauki, ukazuje jego najbliższe środowisko i rodziców w sytuacji naturalnej. Przez tę naturalną sytuację rozumieniem rodziców nie odświeżonych, oficjalnych, coś tam ukrywających przed sąsiadami lub demonstrujących stan posiadania z okazji „wywiadówki”, ale na swój sposób zatroskanych o los dziecka. Wizyta w domu sprzyja szczeroci, bezpośredniości rozmowy, gwarantując prawidłową interakcję między wychowawcą a rodzicami. Jej wynikiem powinno być niespreczne oddziaływanie na dziecko.

Mając zjednaną rodziców, warto śmielej występować z propozycjami wszechstronnego rozwoju dziecka, przez ukazywanie perspektyw poszczególnych dyscyplin. Oprócz nauce i wychowaniu na pływających z eksperymentów pedagogicznych ostatnich dziesięcioleci wnioskach, iż biegłość poznawcza lub intelektualna stanowią same dla siebie nagrodę. „Dzieje się tak zwłaszcza wtedy — twierdzi Jerome S. Bruner — gdy uczeń zrozumie, że nauka się kumuluje, to znaczy, że nauczywszy się jednej rzeczy, może dzięki tej umiejętności sięgnąć po inną, dotychczas dla niego niedostępną i w ten sposób kroczyć coraz dalej, aż do osiągnięcia dowolnego stopnia perfekcji (...) Również i nauczyciel odczuwa przyjemność, widząc, jak wychowanek zaczyna się o tyle dobrze orientować we własnych postępkach, by móc sam w nich znajdować nagrodę lub karę” („W poszukiwaniu teorii nauczania”).

Wychowanie sprzęgnięte z nauczaniem podniesie rolę pracy — zasadniczego ele-

z poezją, malarstwem, muzyką i innymi sztukami, również dzięki kontemplacji, głębokiej refleksji nad potrzebą życia wartościowego.

Zapytacie Państwo, jak przybliżyć wychowancom koncepcję życia wartościowego. Między innymi przez przeciwstawienie go życiu „urządzonego”, gdzie celem jest dobrobyt, wygoda, przyjemność, posiadanie rzeczy i otaczanie się przedmiotami, których nigdy dosyć. Odpowiem, że wymaga to przekonania o świadomości, dzięki której człowiek pracuje dobrze nie dlatego, by dużo zarobić, ale dużo zarabia, bo dobrze pracuje i to jest poza nim oceniane. Takie przewartościowanie zmierz do uznania innych motywów niż te, które prowadzą do stałego rozszerzania konsumpcji. „Model konsumpcji — konstataje Suchodolski — jest właśnie dlatego tak bardzo nieludzki, ponieważ w konsumpcji tylko i wciąż powtarzamy samych siebie, nie odkrywając nigdy możliwości nowych, które tylko bezinteresowny wysiłek twórcy przed nami odsłania”.

Warto więc pokazać na przykładzie wybitnych sylwetek ludzi nauki, sztuki, sportu, jak dzięki twórczemu wysiłkowi ich życie zyskuje sens w tym, co robią, co się dzięki temu w danej dziedzinie życia dzieje, a nie w tym, że coś — posiadają lub czegoś używają. Jakże ich więc z innymi ludźmi i ze światem są pełniejsze i bogatsze, oparte na wspólności podejmowanego wysiłku i trudu w przekraczaniu własnych granic.

W SYSTEMIE IKN

Od nauczycieli bibliotekarzy pracujących w resorcie oświaty wymagane są podwójne kwalifikacje: pedagogiczne i bibliotekarskie. Mają je absolwenci studiów bibliotekoznawczych ze specjalizacją w zakresie bibliotek szkolnych i pedagogicznych. Jednak liczba osób z wyższym wykształceniem bibliotekarskim, podejmujących pracę w oświacie jest znikoma w stosunku do potrzeb.

W bibliotekach szkolnych i pedagogicznych pracują aktualnie obok podstawowej grupy pełnokwalifikowanych nauczycieli bibliotekarzy nauczyciele różnych przedmiotów z kwalifikacjami pedagogicznymi, ale bez kwalifikacji bibliotekarskich, bibliotekarze bez kwalifikacji pedagogicznych, nowo zatrudnieni nie posiadający kwalifikacji pedagogicznych i bibliotekarskich.

Dla ich właśnie organizowane są w systemie IKN studia, nadające odpowiednie kwalifikacje. Dla nauczycieli szkół podstawowych, średnich oraz innych placówek oświatowo-wychowawczych, którzy posiadają kwalifikacje do nauczania w danej szkole, a ubiegają się o zdobycie kwalifikacji bibliotekarskich, organizowane są roczne **Pedagogiczne Studia Bibliotekarskie**, których podstawę prawną stanowi zarządzenie ministra oświaty i wychowania z 15 lutego 1984 roku.

Program studium to skrócony zakres treści wyższych studiów bibliotekoznawczych, ze specjalizacją biblioteki szkolnej i pedagogicznej.

Obejmuje sześć przedmiotów: bibliotekoznawstwo i bibliotekarstwo, informacja naukowa, praca pedagogiczna biblioteki szkolnej i pedagogicznej, wybrane zagad-

nienia czytelnictwa, literatura dla dzieci i młodzieży, technika pracy umysłowej. Na jego realizację przeznaczona jest 224 godziny. Absolwenci studium po napisaniu pracy kontrolnej i złożeniu trzech egzaminów otrzymują dyplom stwierdzający uzyskanie kwalifikacji do prowadzenia zajęć bibliotekarskich w szkołach i placówkach oświatowo-wychowawczych.

Studium Pedagogiczne dla nauczycieli z wyższym wykształceniem zgodnie z zarządzeniem ministra oświaty z 16 października 1981 roku przeznaczona jest dla nauczycieli, którzy ukończyli wyższe studia bibliotekoznawcze, lecz nie posiadają kwalifikacji pedagogicznych do nauczania w szkołach.

Zajęcia odbywają się systemem zaocznym w czasie dwóch sesji oraz zjazdów śródrocznych. 188-godzinny program oprócz przedmiotów takich jak: pedagogika, filozofia, nauki ekonomiczno-polityczne zawiera 50 godzin metodyki pracy biblioteki szkolnej. W programie zostały pominięte przedmioty, które występowały w czasie studiów bibliotekoznawczych.

Absolwenci studium po napisaniu pracy kontrolnej i pomyślnym złożeniu egzaminów otrzymują dyplom nadający kwalifikacje pedagogiczne.

Osoby bez kwalifikacji pedagogicznych i bibliotekarskich zatrudnione na stanowisku nauczycieli bibliotekarzy w szkołach podstawowych i innych placówkach oświatowo-wychowawczych, posiadające świadectwo dojrzałości, mogą uczęszczać na roczne 260-godzinne **Studium Pedagogiczne**, w którego programie przewidziano 80 godzin na metodykę pracy biblioteki szkolnej.

Absolwenci studium otrzymują świadectwa potwierdzające uzyskanie kwalifikacji pedagogicznych równoważnych dawnym liceom pedagogicznym, uprawniające do pracy w bibliotece szkoły podstawowej. Absolwenci studium po dwuletniej pozytywnej ocenie pracy mogą być skierowani na studia magisterskie dla nauczycieli pracujących.

Ci, którzy posiadają pełne kwalifikacje pedagogiczne i bibliotekarskie, mogą poszerzać swoją wiedzę i doskonalić umiejętności na studiach podyplomowych prowadzonych przez uniwersytety i wyższe szkoły pedagogiczne. Dla tej grupy nauczycieli organizowane są również formy doskonalenia w systemie IKN.

Studium przedmiotowo-metodyczne z zakresu bibliotekarstwa przeznaczone jest dla kwalifikowanych nauczycieli bibliotekarzy bez wyższego wykształcenia.

Studium ma na celu aktualizację wiedzy zawodowej. Program zawiera zagadnienia z pedagogiki, psychologii, bibliotekoznawstwa i informacji naukowej. Ukończenie studium uwarunkowane jest zaliczeniem pracy kontrolnej i pomyślnym złożeniem egzaminu.

Dla kwalifikowanych nauczycieli bibliotekarzy z wyższym wykształceniem przewidziano studia specjalistyczne. **Studium specjalistyczne** z zakresu literatury dziecięcej i młodzieżowej zostanie uruchomione od października 1985 r. Działania studium z zakresu wiedzy o książce.

Wybór specjalizacji zależy od zainteresowań kandydatów. Na przykład program studium „literatury dziecięcej i młodzieżowej” zawiera następujące grupy tema-

tyczne: historia literatury dla dzieci i młodzieży, dziecięca i młodzieżowa literatura obca, odmiany gatunkowe literatury dla dzieci i młodzieży, teoria literatury, socjologia literatury, książka i czasopisma dziecięce, dzieje i stan badań nad literaturą dla dzieci i młodzieży.

W realizacji studium — w ścisłej współpracy z ośrodkami uniwersyteckimi — zakłada się zapoznanie z najnowszymi kierunkami badań naukowych w zakresie bibliotekoznawstwa.

Dla wykwalifikowanych bibliotekarzy rozpoczynających pracę (w zasadzie do piątego roku) przeznaczona jest **studium adaptacji zawodowej**. 130-godzinny program studium realizowany jest po rzez kierowane samokształcenie wspierane, słuchacze mają organizowane spotkania naukowe.

Wszystkie formy doskonalenia uwzględniane są przy ubieganiu się o kolejne stopnie specjalizacji zawodowej. Proponowane formy dokształcania i doskonalenia nauczycieli bibliotekarzy stanowią system i dają każdemu możliwość zdobycia odpowiednich kwalifikacji, rozwijania i pogłębiania wiedzy i umiejętności zawodowych. Droga ta, dla nauczycieli bez studiów wyższych, przebiega od pedagogicznego studium bibliotekarskiego (nadającego kwalifikacje do pracy w bibliotece szkolnej); możliwości doskonalenia się poprzez studium przedmiotowo-metodyczne lub studium specjalistyczne, do studiów podyplomowych w momencie ukończenia studiów wyższych.

Dla nauczycieli z wyższym wykształceniem bibliotekarskim proponuje się **studium pedagogiczne** — metodykę pracy biblioteki szkolnej — nadające uprawnień do pracy w bibliotece szkolnej lub pedagogicznej.

Ta grupa nauczycieli bibliotekarzy może podejmować studia podyplomowe z zakresu bibliotekoznawstwa i informacji naukowej w uczelniach. Dalej istnieje możliwość doskonalenia się na studiach specjalistycznych. Natomiast dla nauczycieli bibliotekarzy z wykształceniem wyższym bibliotekarskim (specjalizacja szkolna i pedagogiczna) proponuje się **studia podyplomowe** w uczelniach lub **studium specjalistyczne** w systemie IKN.

DANUTA WESOŁOWSKA

CZYTELNICZY MAJĄ GŁOS

TO NIE JEST STRATA CZASU

Kiedy otrzymałem skierowanie na roczne studium pedagogiczne w IKNiBO w Warszawie, koleżanka w pracy szczerze mi współczuła. „To zwyczajna strata czasu i zdrowia. Nic się tam nie nauczysz, a będziesz musiał bez przerwy pisać konspekty, wypracowania, czytać pedagogiczne cełgi, od których pęknie ci głowa”.

Na pierwsze zajęcia poszedłem więc bardzo niechętnie. Okazały się one jednak przyjemne i, co dla mnie najważniejsze, pożyteczne. Bez przesady, po blisko rocznym kursie w IKNiBO mogę stwierdzić, że wiadomości, które tam zdobyłem, bardzo mi pomogły w mojej pracy zawodowej w Państwowym Domu Dziecka. Podejmując pracę, nie miałem żadnego przygotowania pedagogicznego. Ukończyłem jedynie Technikum Ekonomiczne. Dostyć szybko przekonałem się, że moja praca jest bardzo odpowiedzialna, że można jednym niewłaściwym zachowaniem, nawet gestem, zrobić wychowankowi krzywdę.

Młodzieży w mojej placówce nie można zaliczyć do najłatwiejszej. Grupa, z którą pracuję, jest zróżnicowana wiekowo, często powstają trudne problemy wychowawcze. Reagować na nie należy natychmiast. Nie miałem, ze względu na harmonogram pracy wychowawców i jej ustawienie, możliwości podpatrywania starszych, doświadczonych kolegów. Tak się złożyło, że z nimi pracowałem akurat najmniej.

Początkowo praca bardzo mnie męczyła, często wychowankowie swoim zachowaniem irytowali mnie. Odnosiłem wrażenie, że jestem bezradny, że moje starania, wysiłki nie dają oczekiwanych rezultatów.

Wszystko chciałem w naszej młodzieży poprawić od zaraz. Dziś wiem, że to wynik braku przygotowania pedagogicznego. Jak to jest, zastanawiałem się często, ja im mówię, tłumaczę, czasami skrzyczę, a oni robią dalej swoje, jakby mnie w ogóle nie słyszeli.

Pierwsze zajęcia z teorii wychowania każały mi zastanowić się nad własną postawą wobec wychowanków, nad słusznością stosowanych przeze mnie metod w pracy z młodzieżą. Uderzył mnie po kilku zajęciach fakt, że ja właściwie nie znam prawie żadnych gier i zabaw dla młodzieży. Dotychczas w mojej placówce na okrągło była piłka nożna i ping-pong. Zimą zaś właściwie nie było nic. Gry i zabawy, ich przykłady, z którymi zapoznałem się na zajęciach w IKNiBO, prznosiłem na bieżąco do swojej placówki. Okazało się, że młodzież wiele z nich „kupiła”. Nie mam też już kłopotów z wypełnieniem czasu wolnego młodzieży.

Bardzo ważne jest i to, że zdałem sobie sprawę z tego, iż konieczne jest dobre poznanie każdego wychowanka. Dotychczas wydawało mi się, że znam i rozumiem wszystkich. Na zajęciach z teorii wychowania i psychologii zrozumiałem, że trzeba sobie jeszcze postawić pytanie: dlaczego on jest taki, co się na to złożyło, jakie przyczyny legły u podstaw? Nigdy dotychczas tego nie robiłem, bo zwyczajnie nikt mi w pracy tego nie powiedział. Zacząłem przeglądać akta wychowanków, odwiedzać ich domy rodzinne. Wtedy innymi oczami zacząłem patrzeć na swoją młodzież.

czątkowego” w Kielcach zareagowała natychmiast. Otrzymałam zamówioną rok temu przesyłkę. Bardzo szybko wyjaśniło się, że powodem takiej zwłoki było nieprawidłowe odczytanie mojego nazwiska przez pracownika redakcji. Za pośrednictwem w rozmówianiu mego problemu serdecznie dziękuję.

BARBARA KARNAS
Stara Wieś

OD REDAKCJI: Dziękujemy w imieniu Czytelniczek za szybkie załatwienie tej przykłej sprawy. Ale oto otrzymaliśmy drugi list, w którym nasz Czytelnik pisze następująco:

Nauczyłem się cierpliwości. Dzisiaj nie dążę, jak dawniej, do tego, aby wychowankowie z dnia na dzień stali się od razu wzorowymi uczniami i grzecznymi dziećmi, a taki cel stawiałem sobie na początku. I moje działania nie przyniosły oczekiwanego efektu. Obecnie metodą małych kroczków próbuję osiągnąć cel podstawowy w swojej pracy: wychować dobrego obywatela, człowieka kulturalnego, wrażliwego.

Podejmując pracę w domu dziecka, sądziłem, że nie ma prostszej i łatwiejszej pracy niż z młodzieżą. Przekonałem się, że jest przeciwnie. Na zajęciach w IKNiBO poznałem od strony teoretycznej, a znajduję to w mojej praktyce pełne potwierdzenie, złożoność problematyki pracy z młodzieżą i co najważniejsze odpowiedzialność.

Czasami boję się — a obawy te wyniosłem z zajęć z teorii wychowania — że postępuję niewłaściwie, że takie lub inne działania szkoda wychowankom, pogłębiają lub rodzą frustrację. Roczny kurs nauczył mnie, młodego wychowawcę, o ostrożności. Ostrożności i taktu — to chyba najtrafniejsze określenie.

Pisząc o tym, chciałbym podkreślić pewien motyw, który stale przewijał się w trakcie zajęć i to z różnych przedmiotów. Mianowicie, że to, co mówię, to, co staram się wszczepić wychowankom, sam jako człowiek muszę realizować i w życiu przestrzegać. To banalne, ale bardzo prawdziwe stwierdzenie. Zdałem sobie bowiem sprawę, że — choć może tego na pierwszy rzut oka nie widać — młodzież pilnie obserwuje moje zachowanie, gesty, nawet to, jak się ubieram.

To, co tu piszę, nie jest bynajmniej hymnem na cześć IKNiBO. Faktem natomiast jest, że moja praca z początkowo męczącej, denerwującej stała się przyjemniejsza. Łatwiej znajduję wspólny język z młodzieżą. Nie myślę już o zmianie pracy. Te przeobrażenia zawdzięczam, jestem o tym głęboko przekonany, rocznemu studium pedagogicznemu. To nie był czas zmarnowany.

MIROSLAW PIASECKI
Warszawa

NA WCZASACH LITERACKICH

Ogólnopolskie wczasy literackie nauczycieli mają już długą tradycję. W tym roku Zakład Usług Socjalnych Resortu Oświaty i Wychowania zorganizował je w Warszawie. Miejscem wcześniejszych wakacyjnych spotkań nauczycieli — pisarzy były: Gdynia, Gdańsk, Kraków, Wrocław i Cieszyn. Teraz wybrano stolicę, stwarzającą duże możliwości kontaktów z wybitnymi pisarzami i krytykami literackimi oraz placówkami kulturalno-artystycznymi. Na Zolborzu, w internacie Zespołu Szkół Zawodowych przy ul. Reymonta, zagwarantowano nam dobre warunki pobytu i odpoczynku.

We wczasach uczestniczyło 52 nauczycieli z całego kraju. Byli wśród nich koledzy legitymujący się dorobkiem książkowym (m.in. Leszek Bakula, Zbigniew Brzozowski, Janusz Marian Kawalko, Tadeusz Kubas, Apolinary Nosalski, Rafał Orlewski, Janina Podłowska, Janina Soszyńska). Dominowali jednak licznie autorzy oczekujący dopiero na swe pierwsze wydawnictwa. Zatem program seminarijny wczasów, poza konfrontacją umiejętności i doświadczeń, był nastawiony głównie na dyskusje tematyczne i warsztatowe, przydatne najbardziej debiutantom.

W trakcie popołudniowych i wieczornych spotkań zaprezentowało swe utwory ponad 30 osób. Tematyka inicjowana w drodze wspólnego wyboru — wiała się przykładowo z tryką refleksyjną, miłosną, różnorodnymi formami prozy artystycznej, literaturą dla dzieci, satyrą. Korzystano z rad doświadczonych uczestników, jak również z pomocy zaproszonych w charakterze konsultantów-opiniodawców, członków warszawskiego oddziału ZLP: Alicji Patey-Grabowskiej i Bolesława Zagala.

Wypowiedzi, pozyskanych na odrębne spotkania znanych i cenionych pisarzy oraz krytyków, szczególnie Wiesława Myślińskiego, Wojciecha Zukrowskiego i Henryka Berezę — zainspirowały żywą wymianę myśli nad wybitnymi autorami literackimi, eseistyką, krytyką literacką oraz nad złożoną sytuacją w życiu kulturalnym i środowisku pisarskim. Z kręgu ciekawych poetów nieco młodszej generacji zaprezentowana została twórczość Wilhelma Przeczka, związanego z zaolziańskim ruchem artystycznym pedagogów.

Gościliśmy ponadto dwóch pisarzy będących zarazem wydawcami. Redakcje Literatury Współczesnej „Krajowej Agencji Wydawniczej” reprezentował Andrzej Gerłowski, zaś Redakcje Literatury Pięknej „Wydawnictwa Łódzkiego” — Edward Kolbus. Dzięki nim poznaliśmy aktualną sytuację edytorsko-poligraficzną w aspekcie wydawniczym oczekiwań i możliwości.

Podobnie jak w roku ubiegłym, przeprowadzono dwa konkursy. W poetyckim (na zestaw trzech wierszy) triumfowali: Rafał Orlewski, Andrzej Wojciech Guzek, Janina Podłowska, Teresa Opoka. Prozatorski stał się ponownym sukcesem Teresy Opoki z Radomia. Tematyka konkursów była dowolna, co stwarzało równe szanse wszystkim zainteresowanym.

Wczasy obfitujące także w atrakcyjne imprezy kulturalno-poznawcze (głównie wyjeżdżki po Warszawie i jej okolicach) — sciniły oczekiwania większości uczestników. Nie rozstawał się jednak w atmosferze czułych sentymentów. Apetyty stałych, wbrednych bywalców rosła. Na końcowym spotkaniu — z udziałem kierownika Działu Kultury, Turystyki i Sportu ZUS Rolw, Jana Moldy — dyskutowano więc już nad programem przyszłorocznych, dwudniowych wczasów oraz nad najbliższymi się w obracowaniu wydawnictwami, które winno uwzględnić lubieusz ogólnopolskiego ruchu literackiego nauczycieli.

STANISŁAW NYCZAJ
Kielce

DZIĘKUJĘ ZA POMOC

Pragnę poinformować redakcję, że dzięki opublikowaniu przez Was mojego listu („GN” nr 30/85) redakcja „Nauczania Po-

PO RAZ DRUGI

1 kwietnia 1985 roku wpłaciłem na konto Wydawnictwa „Język Polski” w Kielcach 1110 zł, aby otrzymać album poświęcony 40-leciu PRL. Dotychczas mimo monitów (ostatnio w lipcu) nie otrzymałem od tego wydawnictwa żadnego albumu, ani też odpowiedzi na moje monity. Więc co się właściwie dzieje? Człowiek wpłaca pieniądze i jak długo musi czekać? Może „Głos” pomoże w tej sprawie?!

ROMAN KONRAD ZALESKI
80-381 Gdańsk Oliwa
ul. Sambora 13

PYTAJ - ODPOWIEMY

URLOP A WYNAGRODZENIE ZA GODZINY PONADWYMIAROWE

Nauczycielka w roku szkolnym 1984/85 pracowała we wrześniu i w październiku. Po urodzeniu dziecka wykorzystala urlop macierzyński i przeszła na urlop wychowawczy, na którym była do końca czerwca. Przed urlopem macierzyńskim, tj. we wrześniu i w październiku miała godziny ponadwymiarowe. Czy w czasie urlopu macierzyńskiego oraz w okresie ferii przysługuje jej przeciętne wynagrodzenie, które otrzymywała za godziny ponadwymiarowe? (Wiesława J. — woj. toruńskie).

Nauczycielowi w okresie urlopu wypoczynkowego przysługuje wynagrodzenie w takiej wysokości, jaką otrzymałby, gdyby w tym czasie pracował. Zmienne składniki wynagrodzenia, a więc m.in. wynagrodzenie za godziny ponadwymiarowe są obliczone na podstawie przeciętnego wynagrodzenia z okresu 10 miesięcy, poprzedzających miesiąc rozpoczęcia urlopu. Także w okresie urlopu macierzyńskiego wypłaca się nauczycielce wynagrodzenie jak za urlop wypoczynkowy.

A więc w czasie urlopu nauczycielka powinna otrzymać wynagrodzenie obliczone według zasad wyżej wymienionych, z tym, że składniki zmienne wynagrodzenia oblicza się nie z 10 miesięcy, a jedynie z 2 faktycznie przepracowanych. Praktycznie więc w skład wynagrodzenia będzie wchodziła przeciętna należnego wynagrodzenia za godziny ponadwymiarowe z września i października.

DZIAŁKA A PODSTAWA EMERYTURY

Od 23 lat bylam użytkownikiem działki o pow. 0,25 ha. Kiedy złożyłam podanie o wliczenie zbiorów z działki do wymiaru emerytury, inspektor wliczył mi tylko 1/4 pożytków. Czy to jest słuszne? (Aleksandra W. — Stargard Sz.).

Zasady obliczania świadczeń w naturze reguluje rozporządzenie przewodniczącego Komitetu Pracy i Plac z 19 sierpnia 1968 r. (Dz. U. nr 35 z 1968 r.). Miesięczną równowartość zbiorów z

działki oblicza się w następujący sposób: wielkość działki — a przyjmuje się, że nauczyciel ma prawo do 0,25 ha — mnoży się przez cenę 2 q żyta, obowiązującą w okresie, z którego wynagrodzenie stanowi podstawę wymiaru emerytury, a następnie dzieli się przez 12 miesięcy.

PRZERWA W PRACY NAUCZYCIELSKIEJ

Przez trzynaście lat pracowałam jako nauczycielka, a potem, na mocy porozumienia stron, przeniosłam się do spółdzielni inwalidów na stanowisko referenta, gdzie pracowałam 3 lata, i znów wróciłam do szkoły. Wiem, że tych trzech lat nie wlicza mi się do stażu. Pracuję w sumie już 20 lat, czy otrzymam nagrodę jubileuszową? Czy te 3 lata pracy poza szkołą będą mi wliczone do lat pracy potrzebnych do emerytury? (Janina P. — Łomża).

Nagrodę jubileuszową nauczyciele otrzymują za wieloletnią pracę: 20 lat, 25 itd. Do tych okresów wliczane są wszystkie lata pracy, wykonywanej także poza oświatą.

Do okresów pracy wymaganych do uzyskania świadczeń emerytalnych wlicza się wszystkie okresy zatrudnienia w PRL (art. 9—15 ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym pracowników i ich rodzin Dz. U. nr 40 z 1982 r.).

DODATEK FUNKCYJNY ZA ZASTĘPSTWO

Prawdopodobnie przez trzy kolejne miesiące będę zastępować chorego dyrektora. Czy przysługuje mi dodatek funkcyjny? (Leszek Ch. — woj. lubelskie).

Tak; dodatek funkcyjny, zgodnie z dyspozycją art. 32 ust. 2 Karty — przysługuje nauczycielom, którym powierzono obowiązki kierownicze w zastępstwie. W tych przypadkach prawo do dodatku powstaje od pierwszego dnia miesiąca po upływie jednomiesięcznego okresu pełnienia tych obowiązków i gśnie z pierwszym dniem miesiąca następnego po zaprzestaniu pełnienia tych obowiązków.

NOWOŚCI NADESŁANE

LITERATURA PIĘKNA

Praca zbiorowa: **DAR SŁOWA**. WL, Łódź 1985, s. 270, cena 400 zł.
Miodrag Bulatović: **WOJNA BYŁA LEPSZA**. WL, Łódź 1985, s. 284, cena 200 zł.
Georges Simenon: **SMIERĆ AUGUSTA** WL, Kraków 1985, s. 176, cena 100 zł.
Marek Adam Jaworski: **DREWNIANE SZABLE** WL, Lublin 1985, s. 290, cena 90 zł.
Andrzej Makowiecki: **POWRÓT WABISZCZURA**. WL, Łódź 1985, s. 96, cena 75 zł.
Jerzy Jesionowski: **EGZYLIA**. WL, Łódź 1985, s. 164, cena 80 zł.
Jerzy Jerzmanowski: **W STARYCH KIELCACH**. WL, Łódź 1985, s. 314, cena 90 zł.
Julio Cortazar: **GRA W KLASY**. WL, Kraków 1985, s. 515, cena 330 zł.
Jadwiga Skotnicka: **PTAK Z TAMTEJ STRONY SZYBY**. Ossolineum, Wrocław 1985, s. 295, cena 140 zł.
Anna Jókai: **ANIOL Z REIMS**. WL, Kraków 1985, s. 480, cena 220 zł.
Roland Topor: **CZTERY RÓŻE DLA LUCIENNE**. WL, Kraków 1985, s. 161, cena 130 zł.
Grigol Abaszidze: **SYN KRÓLOWEJ TAMAR**. WL, Kraków 1985, s. 317, cena 180 zł.

BIUGRAFIE WSPOMNIENIA

Janusz Meissner: **WSPOMNIENIA PILOTA**. WL, Kraków 1985, s. 344, cena 230 zł.
Maria Zientara-Malewska: **WSPOMNIENIA NAUCZYCIELKI SPOD ZNAKU RODŁA**. WSiP, Warszawa 1985, s. 172, cena 120 zł.
Jakub Wojciechowski: **ZYCIORYS WŁASNY ROBOTNIKA**. LSW, Warszawa 1985, s. 564, cena 350 zł.
Czesław Bobrowski: **WSPOMNIENIA ZE STULECIA** WL, Lublin 1985, s. 346, cena 250 zł.
Kirył Andriejew: **POTROJNE ŻYCIE JULIUSZA VERNE'A**. WL, Łódź 1985, s. 248, cena 180 zł.

POMOCNICZE

Maria Bartnik, Tadeusz Jakubczyk: **SUROWCE W PIEKARNICTWIE**. WSiP, Warszawa 1985, s. 236, cena 70 zł.
Jerzy Baworowski, Maciej Popiański: **HOTELARSTWO**. WSiP, Warszawa 1985, s. 262, cena 78 zł.

OGŁOSZENIA DROBNE

Małżeństwo mgr techniki i nauczanie początkowe z 10-letnim stażem podejmie pracę na południu kraju z mieszkaniem rodzinnym. Oferty: Gątarek 43-470 Istebna. 351

Małżeństwo, magistrowie wychowania fizycznego, trenerzy lekkoatletyki podejmą pracę. Warunek: mieszkanie. Oferty: Stanisław Olszewski ul. Lwowska 165 33-100 Tarnów. 352

Małżeństwo — germanista, oraz nauczycielka wychowania przedszkolnego podejmie pracę. Warunek: mieszkanie. Wydawnictwo Współczesne, 00-490 Warszawa, Wiejska 12, Biuro Ogłoszeń — dla nr 325.

DYREKCJA ZESPOŁU SZKÓL ROLNICZYCH
68-120 Iłowa
ul. Pałacowa 1
woj. Zielona Góra
zatrudni

od zaraz nauczyciela języka polskiego. Mieszkanie zapewnione. **K 348**

INSPEKTOR OŚWIATY I WYCHOWANIA
49-100 Niemodlin
woj. opolskie
zatrudni natychmiast

nauczyciela wychowania muzycznego w Szkole Podstawowej w Graczech. Zapewniamy mieszkanie rodzinne M-3 z wygodami w nowym budownictwie. Zgłoszenia prosimy kierować pod adresem: **Inspektor Oświaty i Wychowania 49-100 Niemodlin, ul. Bohaterów Powstania Śląskiego 37.**

K 349

Przedszkola! Szkoły Podstawowe i Zawodowe! WYTWÓRNIĄ POMOCY SZKOLNYCH
57-550 Stronie Śląskie
skr. poczt. 30, tel. 246
produkuje

Planse dydaktyczne, przeźrocza, instrukcje BHP i ppoz. w pełnym zakresie przedmiotów.

Ofertujemy również:
● Alfabet dla kl. „0” — 28 plansz
● Alfabet dla kl. „1” — 47 plansz
● Monografie liczb — 10 plansz
Prowadzimy sprzedaż wysyłkową. Na żądanie wysyłamy katalog.

K 346

DYREKCJA ZESPOŁU SZKÓL ROLNICZYCH
38-400 Krosno — Suchodół
ul. Dr. Dmochowskiego 12
tel. 204-39
zatrudni pilnie
z dniem 1.X.br.

małżeństwo nauczycielskie o specjalnościach: wychowanie fizyczne i pedagogika opiekuńczo-wychowawcza (internat). Zapewnia się komfortowe mieszkanie M-3 w Iwonowcu.

K 350

Przedsiębiorstwo Zagraniczne
apina

oferuje systemy mikrokomputerowe:

- ▲ ZX 81 + 16k RAM w cenie 126 tys. zł.
- ▲ ZX 81 + 56k RAM w cenie 220 tys. zł.

w cenę systemu wliczony jest podręcznik w języku polskim oraz kasety z 8 programami. 14-dniowy termin realizacji zamówienia. Urządzenia objęte są roczną gwarancją. Oferty prosimy składać pod adresem: Przedsiębiorstwo Zagraniczne „Apina”, Pl. Bohaterów Stalingradu 28, tel. 33-51, tlx 0433266, 65-067 Zielona Góra, Biuro Zakładu Elektroniki, skr. pocztowa 144.

K 329

Uwaga opiekunowie pracowni

- fizycznych
- elektrycznych
- elektronicznych
- wychowania technicznego

OSCYLOSKOPY MINI-5A

poleca Zakład Doskonalenia Zawodowego w Warszawie. Cena dla jednostek oświatowych wynosi 24.000 zł. Zamówienia przyjmuje i informacji udziela Warsztat Elektro-Mechaniczny, 00-950 Warszawa, ul. Podwale 13, tel. 31-06-37.

K 347

28 czerwca 1985 roku zmarł w Białymstoku w wieku 77 lat

KOL. MIECZYSLAW JAKUB ZIMNOCH

zasłużony nauczyciel i wychowawca wielu pokoleń młodzieży, jeden z czołowych organizatorów pierwszej w Polsce Izby Pamięci Nauczycieli Tajnego Nauczania z okresu okupacji hitlerowskiej. Za zasługi odznaczony był Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Złotą Odznaką ZNP i Złotą Odznaką OHP. Odszedł od nas serdeczny Kolega, człowiek szlachetny o wysokiej kulturze osobistej i takcie pedagogicznym, skromny, pracowity i sumienny.

Cześć Jego Pamięci!

ZARZĄD ODDZIAŁU ZNP WRAZ Z SEKCJĄ EMERYTÓW I RENCISTÓW ORAZ WYDZIAŁ OŚWIATY I WYCHOWANIA URZĘDU MIEJSKIEGO W BIAŁYMSTOKU

K 337

TYGODNIK ODZNACZONY



KRZYŻEM KOMANDORSKIM ORDERU ODRODZENIA POLSKI



ZŁOTA ODZNAKA ZNP



MEDALEM KOMISJI EDUKACJI NARODOWEJ



KRZYŻEM ZA ZASŁUGI DLA ZHP

Redaguje zespół: Danuta Chrzczonowicz (sekretarz redakcji), Halina Drachal (kierownik działu), Maria Kalińska (zastępca sekretarza redakcji), Teresa Konarska (kierownik działu), Jerzy Kraśniewski (kierownik działu), Barbara Kozarska (redaktor techniczny), Zenobia Miller (kierownik działu), Bożena Niedziółka, Zbigniew Pawłowski (redaktor naczelny), Maria Rybarczyk (zastępca redaktora naczelnego), Witold Salanski, Wojciech Sierakowski, Henryka Witalewska (kierownik działu), Zbigniew Nowak, Jan Rocki (redaktorzy graficzni), Marek Suchecki (fotoreporter). Kierownik administracyjny — Teresa Grochowska, korekta — Irena Kościelniak, Hanna Kalinowska.

Adres redakcji: ul. Spasowskiego 6/8, 00-339 Warszawa. Telefony: 26-10-11, 26-34-20, 27-66-30.

Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzegamy też sobie prawo ich skracania i opatrywania tytułami.

WARUNKI PRENUMERATY

Institucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach, w których znajdują się siedziby oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, zamawiają prenumeratę w tych oddziałach. Instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” i na terenach wiejskich, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę indywidualną, zamieszkałi na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch”, opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. Prenumeratę indywidualną w miastach — siedzibach oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch” — opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-odbiorczych, właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratorki. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty” na rachunek bankowy miejscowego oddziału „Prasa-Książka-Ruch”.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa. Konto NBP XV Oddział w Warszawie, nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą, jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy.

Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:

- do 10 listopada na I kwartał, i półrocze roku następnego oraz cały rok następny.
- do 1 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Koszty prenumeraty krajowej na 1986 rok: kwartalnie — 104 zł; półrocznie — 198 zł; rocznie — 364 zł.

Reklamy i ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń i Reklamy Wydawnictwa Współczesne, 00-490 Warszawa, ul. Wiejska 12. Ceny ogłoszeń: drobne — 80 zł za 1 wyraz lub znak o oddzielnym znaczeniu; dla ogłoszeń dotyczących poszukiwania pracy przez nauczycieli — 50 proc. niższe; dodatkowa opłata za pośrednictwo w przekazywaniu ofert — 50 zł; kredytowe: komunikaty — 180 zł, nekrologi — 150 zł, reklamy — 165 zł za 1 cm kw. Należność za ogłoszenia prosimy wpłacać na konto: NBP III O/M Warszawa 1036-5223.

Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, 02-017 Warszawa, ul. Nowogrodzka 24/26.

Nakład: 70 000 egz.
NR INDEKSU: 35923
PL ISSN 0017-1263
Zam. 2108.

N-30

„PIERWSZORZĘDNY DRUGORZĘDNY”?

Antologia wspomnień — „Tango Gombrowicz”, przełożonych i wydanych przez Rajmunda Kalickiego, zbliża nas do tytułowej postaci, ale wszystkiego w niej nie wyjaśnia. Wydaje się, że sam autor „Trans-Atlantyku” pragnął pozostać nie do końca i nie przez wszystkich odkryty.

I tak na przykład jeden z młodych przyjaciół Gombrowicza, pisarz argentyński Jorge Di Paola, zastanawia się w swej długiej rozmowie z Rajmundem Kalickim, jaki był stosunek znakomitego pisarza do Polski. Di Paola słyszał bowiem, że Gombrowiczowi, zarzuca się niekiedy aż skąlowanie polskości w jego rozważaniach nad ojczystą kulturą. Argentyńczyk oburza się na tego rodzaju pomówienia: „...całe moje i przecież nie tylko moje zainteresowanie, więcej — miłość do Polski zrodziła się właśnie dzięki obcowaniu z tym napastliwym Gombrowiczem. Pamiętam, jak kiedyś obruszył się (...), gdy ktoś wypowiedział się lekceważąco o Chopinie”. Krytyczna ocena osiągnięć polskiej kultury wynika, zdaniem Di Paola, właśnie z głębokich uczuć przywiązania do kraju i z towarzyszących im najwyższych wymagań.

Oczywiście jest się nad czym zastanawiać. Gombrowicz stara się oceniać z chłodnym obiektywizmem niektórych naszych pisarzy i pewne nurty literackie, dawne oraz bliższe współczesności. Bywa przy tym bezwzględny, nawet w sądach o Sienkiewiczu, co się zresztą i znacznie wcześniej nieraz zdarzało.

Niemniej cała dialektyka stosunku Gombrowicza do „Trylogii” wydaje się ciekawa. Nie można się oderwać od tego dzieła — stwierdza pisarz — chociaż wiadomo, że nie jest ono głębokie. Sienkiewicz doczekał się w końcu od autora „Ferdynand” wątpliwego komplementu, że jest „pierwszorzędnym pisarzem drugorzędnym”...

Innych naszych twórców potraktował Gombrowicz ostrzej, choć zawsze (prawie zawsze!) ze spokojem.

Zastanawia przy tym surowość tego filozofa kultury w poglądach na pisarzy swojej epoki macierzystej, czyli 20-lecia międzywojennego. Skamandryci na przykład — to według Gombrowicza epizod bez znaczenia. Trudno o nich mówić źle, ale polska kultura nie ucierpiałaby, gdyby ich wcale nie było. Spróbujmy odebrać im rytm i rytym, a zostanie niewiele. Są jakby puści w środku...

Wobec takiego stosunku do poetów z kręgu „Skamandra” spodziewalibyśmy się aprobaty „trudnego Gombrowicza” dla trudnej Awangardy. I tu spotyka nas największe zaskoczenie. Autor „Słubu”, mówiąc o tym nurcie poetyckim, traci całą równowagę duchową, wychodzi z siebie, ciska inwektywami. Miota się. Jest wprost nie do zniesienia. Nawet dla tych, co Awangardę zwycza... nie lubią.

Potem spokojnie omawia prozę 20-lecia, nie dając zresztą dowodów przesadnego dla niej uznania. Owszem — powiada — od

czasu do czasu trafiało się jakieś dzieło wartościowe lub niezłe.

Latwo można by tego rodzaju rozważania przedstawić w postaci karykaturalnej: nie się nie liczyło poza nim samym i jego „Ferdynandem”. Ale byłby to fałsz. Gombrowicz nie wywyższa siebie, nie mówi o swoim miejscu w dorobku międzywojennym literatury polskiej. Ogromna zaś większość jego rozważań nastraja poważnie. Budzi nieraz sprzeciw i protest, czasem niechęć lub bunt, ale... przykuwa uwagę.

Oderwijmy się jednak na trochę od istoty rzeczy, czyli od myśli Witolda Gombrowicza. Wróćmy do jego zachowań, jego sylwetki. Młody pisarz argentyński, wspomniany tu Di Paola, przyjechał w 1979 r. z drugiej półkuli do Polski, żeby o samym przyjacielu opowiedzieć i żeby choć trochę poznać ziemię, która go wydała. Jak się więc prezentuje „Witold”, wspomniany w dziesięć lat po śmierci?

„Czy zawsze był z wami nienaturalny?” — stawia zaskakujące pytanie Rajmund Kalicki. „Raczej tak” — odpowiada gość z Argentyny. „Grał zawsze jakąś rolę — w teatralnym znaczeniu tego słowa — i nigdy o tym nie zapomnaliśmy... Byliśmy [jego przyjaciele] jakby członkami Gombrowiczowskiego laboratorium i zdaliśmy sobie z tego sprawę (...) Witold był sztuczny, ale i nam niczego nie brakowało. Powstawał więc za każdym razem spektakl przedstawienie”.

Kiedy głośno czytał swoje utwory, jego twarz stawała się niezwykle plastyczna — „nigdy w życiu nie widziałem podobnego aktora” — konkluduje Jorge di Paola, ale nie kończy na tym. Usiłuje jeszcze dociec istoty ekscentryczności przyjaciela:

„Bardzo drażnił dorosłych. (Gombrowicz) nosił pomietły, popielinowy garnitur i czapkę, wciśniętą zwykle w kieszeń (...) Był komiczny, a zarazem pełen swojskiej arystokratycznej dumy, godności”.

Należy przypuszczać, że przyswoił sobie wiele gestów z... kina niemego. Kiedyś na przykład dał przyjaciółom popis jazdy na rowerze po piasku, czyniąc to wciąż wolniej i wolniej, niemal aż do stanu bezruchu. Właśnie jak w doskonałej burlesce z doby filmu niemego.

Sposób bycia pisarza może się podobać lub nie, można ten styl obcowania z ludź-

mi uznać za męczące dziwactwo. Ale wtedy pozostanie jeszcze Gombrowicz-artysta. Artysta polskiego słowa. A ten nie da się zdjąć z porządku dziennego.

Trafilem ostatnio na fragmenty opisu jego podróży, odbyłej jeszcze w 1956 roku, na „Diariusz Rio Parana”. Miejscami, jak sądzę, jest to rzecz wstrząsająco piękna. Posłuchajmy:

„Płyniemy. Z towarzyszeniem zieleni (bo właśnie zbliżyliśmy się do brzegu) ciemniejszej, jaśniejszej, rozlew nabyty światłem i do rozpuku weszliśmy aż, zda się, w niebo wstępujący — my zaś płyniemy. Płyniemy, gdy jadłem śniadanie, a gdy, po partii szachów, wyszedłem na pokład, ujrzałem: płyniemy. Woda żółta — niebo białawe”.

To dopiero jakby preludium opisu podróży małym stateczkiem po ogromnej egzotycznej rzece. Siła wyrazu „opisu właściwego” zaskakuje nas zupełnie:

„Tego samego dnia wieczór. — Zza płota czarnej chmury wyrzła olbrzymia, trykająca, czerwona facjata i lunęła horyzontalnie potokiem śnieg, wskutek czego lustro wód stało się skośne, a najdalsze archipelagi, tam za przesmykami, w głębi zatok dostąpiły wniebowzięcia”.

Crescendo opisu dopiero się zbliża: „I słońce uderzyło w miasto Parana, które na górze rozindyczyło się i rozparowało, stało się bastionem barw, twierdzą koloru i wystrzeliło wszystkimi ogniami, ziejąc, bombardując w tej ciszy i w tym uroczym spokoju”.

A chór błysków wstawał z wód. Wprędce wydobyliśmy się z tego krajobrazu i płyniemy teraz korytem, które rozszerza się niekiedy do dziesięciu kilometrów, a woda jest obfita, prawie nadmierna, my zaś płyniemy, płyniemy”.

Cóż tu mówić? Przypomina się którymś z potężnych opisów przyrody z „Sonetów krymskich” czy z samego „Pana Tadeusza” i jesteśmy jednocześnie nad „wodą wielką i czystą” — choć żółtą — z całym jej filozoficznym zapleczem.

Podobne bywają opisy natury w listach, a właściwie reportażach Sienkiewicza z Ameryki i z Afryki. A więc przypominają się różni polscy... „pierwszorzędni pisarze drugorzędni”, którym Gombrowicz potrafi dorównać.

ZDERZENIA

BRZYDKIE KACZĄTKO

Polacy słyną z tolerancji. Takie opinie słyszy się często, zwłaszcza w ostatnich latach, kiedy społeczne zapotrzebowanie właśnie na tolerancję było i jest ogromne. Jakże często przekonujemy się wzajemnie, czy to w kręgu towarzyskim, zawodowym czy na forum publicznym, że w warunkach dużego zróżnicowania przekonań i poglądów tolerancja jest wartością nadrzędną. Zachować własne przekonania, ale też uszanować u kogoś poglądy i przekonania odmienne — to jest właśnie to.

Czy my, Polacy, dziś, w burzliwych latach osiemdziesiątych, wykazujemy zawsze zrozumienie oraz szacunek dla odmienności obyczajowych, światopoglądowych? Czy jesteśmy pojedynczo i w masie, jako społeczeństwo, tolerancyjni?

Nie potrafimy na to pytanie odpowiedzieć. Tak jakos jest, że tolerancja bardziej łączy niż dzieli, kiedy to Polska, kraj w swej znakomitej większości katolicki, dała schronienie ludziom o odmiennych przekonaniach i stworzyła im warunki do zachowania własnego stylu bycia i życia.

Czy dziś, przy większych zapewne zróżnicowaniach światopoglądowych, byłoby nas stać na taką postawę? Nie wiem. Obserwacja życia dostarcza wielu dowodów na „tak” i na „nie”. Tak się jednak składa, że ciągle tych „nie” spotykam więcej, w dodatku w sferze, w której trudno o naturalny, szczerzy dialog. I choć jednostkowe doświadczenie nie daje podstaw do uogólnień, to przecież nie sposób całkiem go lekceważyć.

Oto zrozpaczony ojciec siedmioletniego brzdąca zarzuca — nam, dziennikarzom, że zbyt rzadko i tchórzliwie podnosimy temat braku tolerancji wobec dzieci i rodziców niewierzących... Że w ogóle nie dostrzegamy tego problemu, bądź z wygodnictwa — bo problem to trudny, bądź z ignorowania tego, co nie jest typowe, powszechne. A dzieci rodziców niewierzących lub innowierców stanowią w szkole zdecydowaną mniejszość.

Piszę: w szkole, ponieważ wcześniej odmienności wyznaniowe dzieci nie dzieli. Praktycznie te podziały i związane z nimi smutne historie zaczynają się na progu szkoły lub tuż przed, czyli w momencie rejestrowania na zajęcia z religii. Zajęcia są, oczywiście, poza szkołą, rejestry też, a jednak szkoła nie przestaje być w tym obecna. Bo właśnie szkoła jest najczęściej miejscem dziecięcych niepowodzeń, cichych tragedii. I nie tylko z powodu brzydkiego wyglądu, jankania się czy utykania na jedną nogę. Gorsze jeszcze katusze przechodzą dzieci, gdy następuje podział na chodzących i niechodzących na religię.

Przykład wzięty prosto z życia. Dziewczynka już po raz drugi powtarza klasy. Zaczęło

się od drugiej. Nagle przestała być dobra, choć przez dwa lata nikt nie zgłaszał żadnych zastrzeżeń. W pierwszej — nie było problemu, dziecko, jak inne, ukończyło rok, nie kierowano je na zajęcia dodatkowe. Wszystko szło jak z płatka.

Problemy zaczęły się w klasie drugiej. Sympaty się dwójce. Dziecko przychodziło do domu z płaczem i z płaczem szło do szkoły. Nie miało kolegów. Nie chciało też podać przyczyny. Wreszcie wyjąkało: nie chcą mnie, bo nie chodzę na religię.

Okazało się, że dziewczynka jest wytykana palcami przez rówieśników, nie chcą się z nią bawić, sama siedzi w ławce, bo kolejne koleżanki uciekają. Jest rozstargniona, wszystko robi źle. Nie pamięta, nieładnie pisze, nie reaguje na słowa. W następstwie leca dwójce. I powtarzanie roku. Opóźnień i psychicznych urazów nie da się już łatwo cofnąć.

Matka, a także, interweniuje u wychowawczyni. Prosi, by poskromiła dzieci, bo w tych warunkach „brzydkie kaczątko” nie ma szans; nie jest tym z bajki. Ale nauczycielka wie swoje. To nie moja sprawa — mówi. A w ogóle — pyta — co ja tu mogę zrobić? Zabronić dzieciom paplać?

Właśnie — co może zrobić w tych sytuacjach nauczyciel? Otóż, może zrobić dużo. Byłby chciał. Bo tak naprawdę nie chodzi tu wcale o walkę światopoglądową. Problemem dla wychowawcy jest nie to, że dzieci na religię chodzą, są katolikami, tylko jak się zachowują wobec innych. Jak postępują?

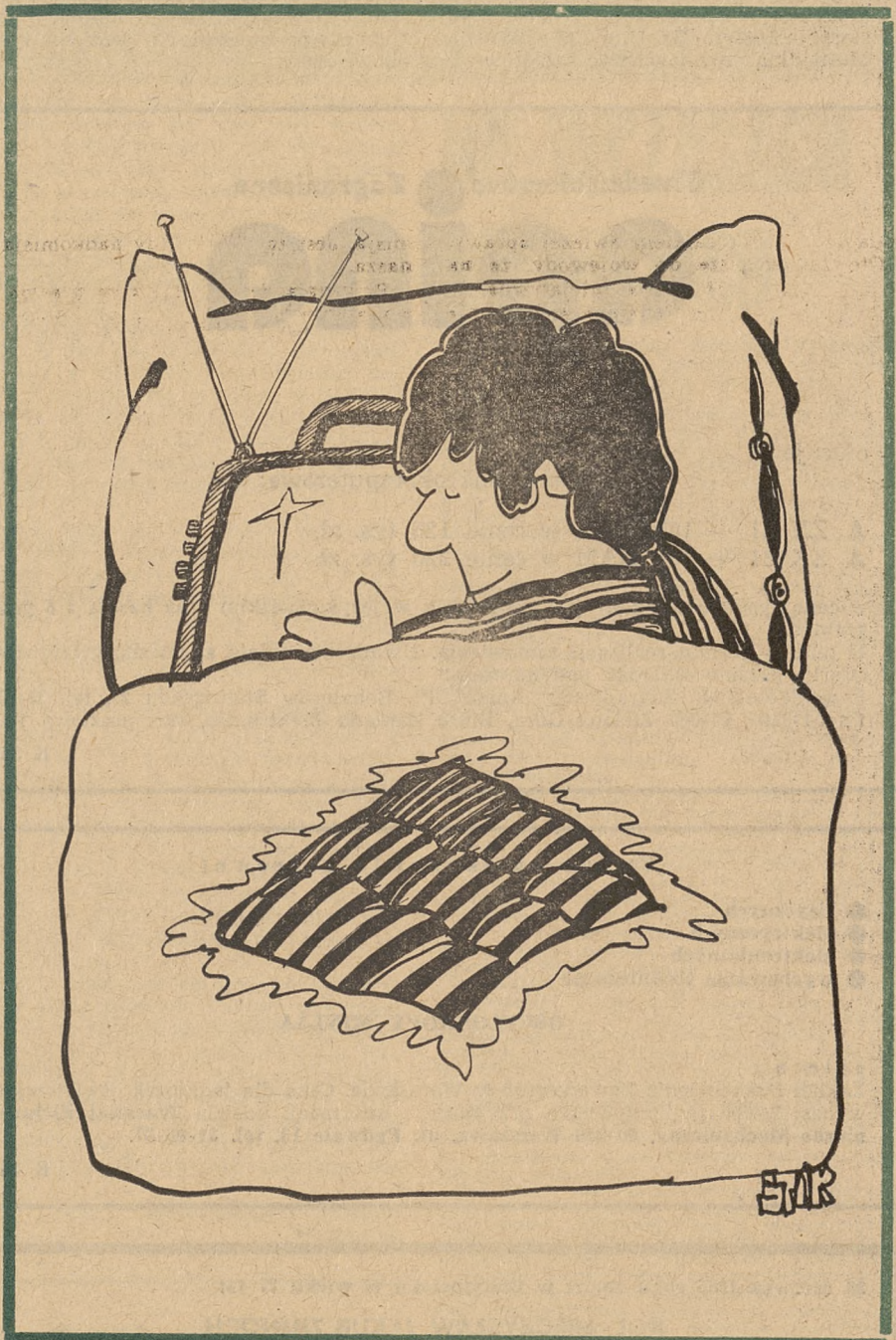
W takich przypadkach dzieci działają na ogół w dobrej wierze. Ale to, że starają wymusić na innych to, co same wyznają — jest już problemem nie tylko tych dzieci. Bo one potrafią być okrutne. Nie zdają sobie sprawy z tego, że mogą kogoś krzywdzić. I tu powinni wkroczyć starsi. Bo to już nie problem tolerancji wobec odmienności, lecz tolerancji wobec odmienności. Odnoszenia się do innych, szacunku dla przekonań, poszanowania odmienności każdej, także wyznaniowej. Czy pamiętać o tym na co dzień? Czy potrafimy dostrzegać te trudne sytuacje i uczyć naszych podopiecznych kultury bycia i tolerancji?

To prawda, że dzieci swoje porachunki załatwiają najczęściej w ciszy, poza zasięgiem oczu i uszu dorosłych. Ale na dłuższą metę to się nie udaje. O uczniowskich „wojnach” dobrze wszyscy wiedzą. Tyle tylko, że niektórzy nie chcą wiedzieć. Bo tak łatwiej.

Rosnie więc i na szkolnym podwórku mur nietolerancji. Niechęci i braku zrozumienia dla wszystkiego, co inne. Wyglądu zewnętrznego, innego zdania, opinii, poglądów, przekonań.

Czy rzeczywiście jesteśmy narodem tolerancyjnym?

MARIA POPOWICZ



W NAJBLIŻSZYCH NUMERACH:

NIK o opiece zdrowotnej nad uczniami • W czepku urodzona? — o łódzkiej szkole elektrycznej • Pism, które wciąż krążą — ciąg dalszy • Czy prawo zwycięży? — czyli o budowie Domu Seniora • Bratysławskie galerie dzieciom — korespondencja własna z CSRS.